

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

KRAMENIA

LUBLIN 21 IV 1974 Nr 8 (546)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

ODRODZIŁA SIĘ W LUBLINIE

Ireneusz J. Kamiński

ZWIĄZEK Polskich Artystów Plastyków skupia dziś ponad 8 tysięcy członków, należąc zarazem do najbardziej ruchliwych stowarzyszeń twórczych w kraju. W niektórych miastach wojewódzkich działalność plastyków niemal wyczerpuje pojęcie lokalnego ruchu artystycznego. W jakimś stopniu można to wytłumaczyć faktem istnienia sześciu wyższych uczelni plastycznych, które co roku opuszcza kilkudziesięciu absolwentów. Spora ich grupa trafia do mniejszych ośrodków, gdzie tzw. rynek plastyczny jest nadal wyjątkowo chłonny, co z kolei wpływa na jakość warunków życia i twórczości młodych artystów. Zwraca przy tym uwagę mądra polityka niektórych władz miejskich, na przykład Opola, które uruchomiły cały mechanizm pozyskiwania plastyków — od działań propagandowych począwszy, a na konkretnej ofercie skończywszy.

Względy „populacyjno-edukacyjne” nie wyjaśniają przecież do końca społecznego zainteresowania umiejętnościami plastyków i wysokiego ich miejsca w hierarchii sztuki polskiej. Przyczyny są znacznie głębsze, tkwią w charakterze współczesnej cywilizacji, która preferuje wizualne metody i środki wymiany informacji oraz z nie spotykaną ni-



Alfred Lenica

Fot. CAF

Dokończenie na str. 8-9

POJAWIENIE się jego nazwiska znamionuje kontakt ze sztuką najwyższego gatunku, znamionuje przeżycia i wzruszenia, stanowi impuls do głębszego zastanowienia się nad sensem naszej codzienności. Dziś jest gościem naszej redakcji...
— Większość miłośników teatru zna dość dobrze okres Pańskiej twórczości związany z pobytem w Warszawie, a przecież i przedtem miał Pan znaczące sukcesy. Wy-

Gustawa Holoubka życie teatrem

mieśmy chociażby rolę Łatki w „Dożywociu” uhonorowaną w 1952 r. nagrodą państwową III stopnia, rolę Admirala w „Zagładzie eskadry”, za którą rok później otrzymał Pan taką samą nagrodę.

— Istotnie, tak to zwykle bywa, że kiedy się jest poza Warszawą, dokonania w naszym zawodzie, sukcesy, rozwój są mniej dostrzegane niż ma to miejsce w stolicy. Tym bardziej, że mój okres pozawarszawski, tj. pobyt w Krakowie i Katowicach, był związany z okresem, kiedy popularyzowanie aktorów było możliwe w o wiele mniejszym stopniu niż dziś, gdy mamy do dyspozycji telewizję. Po przyjeździe do Warszawy rzeczywiście zostałem „odkryty na nowo”. Część opinii teatralnej i krytyków odnosiła się do mnie jakbym dopiero zaczął być aktorem.

Dokończenie na str. 3

Bieda śpi, interes kwitnie?

Maciej Podgórski

PRZED Sądem Wojewódzkim w Lublinie (IV Wydział Karny) kończy się proces trójki byłych pracowników liceum ogólnokształcącego w Milejowie: dyrektora (lat 49), księgowego (lat 36) i sekretarki-kasjerki (lat 25), oskarżonych o zagarnięcie w ciągu czterech lat kwoty 403 124 zł pieniędzy państwowych i społecznych oraz spowodowanie szkód w mieniu szkoły na 511 111 zł (ponadto dyrektor jest oskarżony o sfalszowanie trzech świadectw szkolnych). Przed sądem odpowiadają również dwie inne osoby (właściciel zakładu lakierniczego w Milejowie oraz

inspektor budowlany z Lublina), oskarżone o pomoc udzieloną wymienionym pracownikom szkoły przy zagarnięciu części wspomnianej kwoty.

Proces od początku toczy się przy drzwiach otwartych, każdy może przyjść, popatrzeć, posłuchać. O sprawie zresztą ludzie szepczą nie od dziś, a do wykrycia przestępstwa doszło bynajmniej nie dzięki owocnej działalności kontrolnej lubelskich władz oświatowych, lecz dzięki pisemnemu doniesieniu pewnej obywatelki do prokuratury. Kobieta napisała o prezentach, hojnie rozdawanych przez dyrektora liceum w imię hasła: „niech bieda śpi,

a interes kwitnie!”, o wieloosobowych libacjach na terenie szkoły i że w trakcie jednej z nich uczeń przylepił na drzwiach gabinetu dyrektora rysunek „dużego kielicha z napisem: alkohol to twój wróg!”, o szeregu ewidentnych nadużyć finansowych... Co na ogół znalazło potem potwierdzenie w śledztwie.

Są więc fikcyjne dowody wydatków (listy płac ze sfalszowanymi podpisami), a pieniądze zagarnię-

Dokończenie na str. 4

Dziesięć lat spędzonych poza Warszawą dały mi bardzo dużo. W tym czasie zdążyłem nauczyć się tego, co potem procentowało w stolicy. Muszę tu podkreślić szczególne znaczenie okresu krakowskiego. Trwał on krótko, bo tylko dwa lata i nie obfitował w poważne zadania artystyczne. Dał mi on jednak inne korzyści: możliwość zetknięcia się ze wspaniałymi ludźmi — aktorami, reżyserami, którzy w owym czasie przebywali w Krakowie i nas młodych mogli nauczyć ogromnie dużo.

Okres katowicki był już okresem samodzielnej wyjątkowej pracy w bardzo odpowiedzialnych rolach, do których obok Łatki należał i Pierzyczin w „Mieszczanach”, i Fantazy. Był to również okres przysposobiania się technicznego do wykonywania zawodu aktorskiego i głębokich doświadczeń z publicznością, od najbardziej prostej do niesłychanie wrażliwej i wyrobionej teatralnie. Była to słowem świetna szkoła aktora.

— Jakby Pan określił swoje aktorstwo? Gawlik napisał w „Twarzach teatru”, że „Holoubek jest aktorem obsesji...”.

— Nie sądzę, że to było ściśle i najtrafniejsze określenie. Bardzo trudno jest mówić o swoim warsztacie, o swoim aktorstwie. Nie przypuszczam, abym miał w sobie coś obsesyjnego. Sądzę po prostu, że aktorstwo w ogóle, a w moim przypadku w szczególności, powinno być nie powielaniem siebie, a przedstawianiem kogoś, kim nigdy nie mogłoby się być. Jest to rodzaj kompensacji marzeń jakie każdy z nas posiada, żeby znaleźć się w innej, niezwyklej sytuacji, żeby być kim innym, mieć inny charakter, usposobienie, nawet inny wygląd fizyczny. Aktorstwo jest właśnie owym czarodziejskim spełnieniem tych marzeń. Chciałbym, żeby i w moim przypadku pełniło taką rolę, z tym małym dodatkiem, że w tej chwili, gdy jestem już 27 lat na scenie, chciałbym przez aktorstwo wyrazić swój pogląd na rzeczywistość. Rola jest dla mnie pretekstem do powiedzenia czegoś o moim stosunku do otaczających nas zjawisk, ludzi i spraw.

— Gra Pan swoje postacie z wielką swobodą, nonszalancją niemalże. Płynię to, rzecz jasna, z doskonalego opanowania warsztatu aktorskiego. Domyślam się, że kryją się za tym godziny ciężkiej pracy...

— Wszystko, co się robi, jeśli ma uzyskać lekkość w każdym zawodzie, a szczególnie rzemieślniczym, jakim jest aktorstwo, wymaga ogromnego zasobu wiedzy. Aktorstwa trzeba się nauczyć. Nie jest to zawód irracjonalny polegający na talentach. Aby móc być dobrym aktorem, trzeba przyswoić sobie wielką ilość techniki — tak nas uczono w Krakowie i to starałem się realizować.

— Podczas przedstawień odczuwa się, że Pańska gra adresowana jest personalnie do widza-jednostki, nie



Fot. CAF

Gustawa Holoubka życie teatrem

widza-tłumu, że istnieje coś na kształt porozumienia, relacji widz — aktor. Tylko nielicznym aktorom udaje się to osiągnąć.

— Byłbym rad, gdyby tak było naprawdę. Rzeczywiście, grając — zawsze mam na uwadze nawiązanie z widzami kontaktu, mówienie do niego tak, jakby to była rozmowa intymna, przeznaczona wyłącznie dla niego. Myślę, że aktorstwo bez świadomości, iż gra się dla kogoś, pod konkretnym adresem, nie istnieje. Oglądając teatr jesteśmy niezadowolony jeśli widzimy, że aktor jest wyobcowany od nas. Być może często dobrze gra, ale nie wiadomo dla kogo i po co. Wtedy przestajemy być zainteresowani tym co robi. Natomiast zawsze wtedy, gdy jesteśmy wciągnięci w akcję przedstawienia, gdy po prostu czujemy i rozumiemy, to tylko dlatego, że aktor nawiązał z nami kontakt. Moją ambicją jest, aby za każdym razem, bez względu na to jaka jest publiczność, wyrobiona teatralnie czy mniej, być przez nią zrozumianym.

— Nad większością Pańskich bohaterów ciąży fatalizm. Postacie przez Pana kreowane łargane są sprzecznościami, konfliktami moralnymi. W końcowym rozrachunku z rzeczywistością ponoszą klęskę, jak chociażby Hamlet, Edyp, Ryszard II czy Konrad. Czy taki typ bohatera skomplikowanego jest Pana ulubionym?

— Ulubionym? Czy ja wiem? Tak się szczęśliwie złożyło, że mogłem grać te postacie. Każdy aktor chciałby grać Hamletów czy Konradów. Myślę, że wynika to ze specyfiki tych ról. Dotykają one tego, co jest wiecznie niedopowiedziane, na co ludzie nie znaleźli odpowiedzi, co jest wieczną zagadką, wiecznym problemem. Role te odsłaniają tra-

giczną prawdę, że jeśli ktoś chce przejść przez życie pozostając wiernym swoim ideałom i sobie samemu, jest zawsze skazany na swoistą klęskę.

Tego rodzaju problem i postacie, które go ilustrują, są niezmiernie, perwersyjnie wręcz pociągające. Za każdym razem sztuka, w tym przypadku teatr, chce znaleźć prawidłowość, naturę tej tragedii. Odpowiedzieć kto ma rację, otoczenie czy też ten ktoś, ten wariat, który się z tego otoczenia wyłamuje. I to jest najbardziej frapujące.

— „Hamleta” w Pańskiej reżyserii mieliśmy okazję oglądać w Teatrze TV. Czy w założeniu miał to być Hamlet zupełnie „nowy”, odbiegający od innych inscenizacji?

— Każdy Hamlet jest zupełnie „nowy”, ale ja nie mam pretensji do „nowości”. Nie wiem, jaki był ten mój, ale Hamlet jest zawsze taki, jaki jest reżyser i aktorzy. Jeżeli można mówić o jakiejś koncepcji, choć nie lubię tego słowa, chciałem, żeby nie była to żadna koncepcja. Chodziło mi po prostu o wierną relację tekstu Szekspira. Było to przedstawienie z konieczności z góry określone, ze względu na czas trwania. Mimo że trwało blisko trzy godziny, to i tak było ono skrócone w stosunku do oryginału. Siłą rzeczy podkreślało więc to, co zwane jest fabułą „Hamleta”, bez szczegółowego wdawania się w filozoficzną warstwę utworu, którą pozostawiliśmy do dopowiedzenia widzom.

— Czy jest jakaś różnica między Holoubkiem — aktorem, a Holoubkiem — reżyserem?

— Na pewno tak. Jest przede wszystkim inny punkt widzenia. Holoubek — reżyser chciałby widzieć wszystkich aktorów bardzo zdyscyplinowanych, podporządkowanych koncepcji reżysera, punktual-

nych, pracowitych. Nie tak jak to ma częstokroć miejsce z Holoubkiem — aktorem.

— Dla większości miłośników teatru pozostanie Pan aktorem. Wiadomo jednak, że pełni Pan także funkcję dyrektora Teatru Dramatycznego, wykłada w PWST, jako prezes przewodni w SPATIF-ie miesięcznej rzeszy aktorów polskich. Jak godzi Pan te wszystkie obowiązki?

— Sam się dziwię jak to godzę. Chciałbym jednak pozostać i pozostać przede wszystkim aktorem. Inne zajęcia są jak gdyby wypadkową tego faktu.

— Od 1953 roku zagrał Pan w 33 filmach. Uważa się jednak Pana za aktora teatralnego. Gdzie należy szukać przyczyn? Czy jest to może sprawa stałej potrzeby kontaktu z widzami, a więc szansy jaką daje teatr?

— Myślę, że tak jest na pewno. Nie miałem szczęścia do filmu i nie sądzę, aby była to tylko moja wina. Filmowcy widzieli we mnie aktora, a nie osobę, obsadzając mnie w poszczególnych rolach. Jest to patrzenie z gruntu błędne. Do filmu nie jest potrzebny aktor i aktorstwo, tylko określona indywidualność. Zaproponowani moimi rolami teatralnymi, widzieli mnie filmowcy w rolach skomplikowanych, obciążonych skomplikowaną psychologią, zdeteterminowanych tragizmem, a ja sądzę, że w filmie powinienem grać tylko i wyłącznie komedie.

— Z filmem związane są również Pańskie plany na przyszłość...

— Tak. Już jako reżyser będę realizował „Mazepę” Słowackiego według własnego scenariusza. Będzie to scenariusz odbiegający od widowiska teatralnego, zupełnie inny, oparty na możliwościach jakie daje film, a więc plener i wszystko co jest możliwe w filmie, a co jest niemożliwe do pokazania w teatrze, czy nawet w telewizji. Realizację rozpoczynam już wczesną jesienią. Tyle plany filmowe. Nie są one zresztą dla mnie najważniejsze. Przede wszystkim Teatr Dramatyczny i stała troska o to, żeby działo się w nim dobrze.

— Czy obok tych rozlicznych zajęć znajduje Pan czas na zainteresowania pozaprofesjonalne, hobby?

— Przynajmniej staram się. Pasjonuje mnie sport. To na pierwszym miejscu. Prócz tego to, co nazywa się spotykaniem z przyjaciółmi, swobodną rozmową itd.

— Czy niedawna wizyta Teatru Dramatycznego w Lublinie z „Elektrą” jest zapowiedzią stałej współpracy z Teatrem im. Osterwy, czy jest to tylko jednorazowy wyjazd w teren?

— Jak dotąd jest to wizyta jednorazowa, związana z wizytą teatru lubelskiego w Warszawie. Myślę jednak że te kontakty, jeżeli spodoba się to lubelskiej publiczności i władzom opiekującym się teatrem, mogą być przedłużone i utrwalone.

— Życzylibyśmy sobie tego z całego serca.

Rozmawiał:

Waldemar Piasecki

WEDŁUG NAS ŁUKASIEWICZ!

Mirosław Derecki

PRZEMYSŁAW Łukasiewicz powiada o sobie skromnie, że ma smykałkę do mechaniki, ale jego współpracownicy i przełożeni określają to bardziej ściśle: specjalista wysokiej klasy. Kierownik Zespołu Wydziałów Obróbki Skrawaniem lubelskiej FSC, inżynier Marian Usarek twierdzi, że nikt w zakładzie nie zna się tak dobrze jak Łukasiewicz na automatach obrabiarek, szczególnie na ich sterowaniu hydraulicznym, i że to człowiek niezastąpiony. Żadna z ponad trzystu maszyn pracujących w ogromnej hali, gdzie produkuje się przednie zawieszania i tylne mosty do samochodów „Zuk” i „Nysa” — nie stanowi dla Łukasiewicza tajemnicy. Faktem jest, że wszystkie te maszyny przechodziły przez jego ręce, jako

brygadziści grupy remontowej. Ale również wtedy, kiedy przydarzy się awaria zupełnie nowej, mało znanej, pracującej na drugim krańcu fabryki obrabiarki, pan Przemysław jest wzywany jako swego rodzaju pogotowie ratunkowe i wystarczy mu pogrzebać chwilę w skomplikowanych mechanizmach aby orzec autorytatywnie, co i w którym miejscu w maszynie szwankuje. „W tej materii — dodaje inż. Usarek — sama wiedza teoretyczna, choćby najbardziej szeroka, nie wystarczy. Potrzebna jest ogromna praktyka, no i owa przysłowiowa smykałka. I wreszcie potrzebne jest poważne podejście do wykonywanego zawodu.”

Dokończenie na str. 4-5



Fot. W. Stępień

Kamena str. 3

Bieda śpi, interes kwitnie?

Dokończenie ze str. 1

te. Są zrealizowane rachunki opiewające na kwoty wyższe od faktycznie wypłaconych, a różnica zagarnięta. Są wydatki, a brak ich udokumentowania. Jest też totalny balagan w całej rachunkowości szkoły, uniemożliwiający rozliczenie kasy i utrudniający wykrycie niedoborów. Oto fikcyjny rachunek za rzekome malowanie szkoły na 53 826 zł, wystawiony i podpisany przez milejowskiego mistrza lakierniczego, który podjął pieniądze, przełane z Inspektoratu Oświaty PPRN w Lublinie na konto liceum w SOP, i oddał dyrektorowi szkoły. Żeby zaś uprawdopodobnić transakcję, odpis rachunku złożył w Wydziale Finansowym PPRN w Lublinie, w związku z czym obciążony został podatkiem w wysokości 8 526 zł, które to pieniądze odzyskał od dyrektora szkoły, wystawiając fikcyjny rachunek za wywóz śmieci szkolnych. Przy okazji przestępstwo popełnił również inspektor budowlany z Lublina, poświadczając nadzór fikcyjnego malowania szkoły, za co otrzymał z kasy liceum 3 514 zł.

Dlaczego ludzie podpisali fałszywe rachunki, kosztorysy robót nie wykonanych, a pieniądze zwracali (w dużej części lub w całości) dyrektorowi? Ponieważ dyrektor, przystojny szpakowaty pan, uchodził za człowieka z koneksjami, nosił maskę działacza społecznego, był na szczeblu gromadzkim z pewnością „kimś”, a na szczeblu powiatowym prawdopodobnie „kimś”, nie wykluczone, że miał i wojewódzkie „dojścia...”. Tak ludzie myśleli i bali się. Tymczasem dyrektor potrafił nawet swobodnie rozdysponować pieniądze, które się należały uczniom liceum za zbieranie chmielu w PGR.

W liceum, które za jego kadencji otrzymało nowy budynek, rządził dyrektor rygorystycznie, mając do pomocy księgowego z wykształceniem w zakresie dwuletniej szkoły mechanizacji rolnictwa (z zawodu ślusarza samochodowo-tractorowego) oraz 25-letnią sekretarkę-kasjerkę po maturze. Więc rządził jak satrapa, co nie przeszkadza, że od 1967 roku nie była przeprowadzana w liceum inwentaryzacja składników majątkowych ani ewidencja zakupionego sprzętu, natomiast co roku szły z liceum do Inspektoratu Oświaty pisma, iż takowa inwentaryzacja i ewidencja zostały dokonane. Wydatkowano pieniądze szkolne na przejazdy taksówkami (trasa: Milejów—Lublin—Milejów lub Milejów—Warszawa—Milejów, i po okolicy, na przykład do Piask, gdzie placiki ziemniaczane w śmietanie i inne uciechy), wydano pieniądze szkoły na dwadzieścia litrowych beczulek do wina (z funduszu osobowego!), a potem te beczulki na prezenci!

Z aktu oskarżenia:

Podnieść również należy, że dowody postępowania przygotowawczego ujawniły, iż dyrektor oraz księgowy lubili nadużywać alkoholu i dość często organizowali różne przyjęcia. Zebrane dowody wskazują na to, że pieniądze na ten cel czerpali oni z kasy liceum i z kasy komitetu rodzicielskiego tej szkoły.

Zył sę pierwszorzędnie, przynajmniej przez cztery lata. Miało się „nadwornego taksówkarza” — wedle wyrażenia sędziego Jerzego Nowikowskiego, który prowadził sprawę. Kurs lubelski — 500 zł, kurs warszawski — 1500 zł, tyle kierowca brał i wystawiał rachunki. Piło się i jadło, a węgę na swoje garniturki kupował dyrektor z funduszy szkoły w miejscowym sklepie GS.

Z zeznań personelu restauracji „Asturia” w Milejowie:

Dyrektor jadał, przeżył w towarzystwie prezesa milejowskiej GS, w sali gościnnej. Kurczaki i schabowe, winiaki i koniaki. Kilkakrotnie w każdym miesiącu, a czasem trzy razy w tygodniu. Bywały też jakieś osoby z Kuratorium oraz Inspektoratu Oświaty, wtedy dyrektor prosił o szybką i sprawną obsługę ze względu na dostojnych gości i zawsze zastrzegł sobie, żeby nie przyjmować należności od jego gości i aby regulacja rachunku była dyskretna, to jest, aby osoby z nim przebywające nie wiedziały, ile faktycznie wyniosł rachunek.

Z zeznań dyrektora:

Uczestnicy obiadu nie zainteresowali się, skąd pochodzą pieniądze na obiad i kto ten obiad finansował, nikt z nich nie partycypował w uregulowaniu rachunku... Nikt nie interesował się, skąd miałem pieniądze na beczulki, ja też nikomu nie mówiłem, skąd pochodzą pieniądze.

Z zeznań księgowego liceum:

Kuratorium i przedstawiciele Inspektoratu Oświaty nie interesowały się, skąd dyrektor bierze pieniądze na przyjęcia.

Z zeznań dyrektora:

Przez okres mojej pracy (czyli przynajmniej od 1965 roku) kontroli finansowo-materiałowej z Kuratorium jak i Inspektoratu nie było.

Z zeznań księgowego liceum:

W czasie mojej pracy nigdy nie było żadnej kontroli z Kuratorium lub Inspektoratu Oświaty. Dyrektor mi powiedział, że w szkole nigdy nie ma kontroli.

Z zeznań głównej księgowej Inspektoratu Oświaty (obecnie księgowej w jednej ze szkół lubelskich):

Jak byłem w liceum, nigdy nie przeprowadzałem kontroli, ponieważ byłem przekonana, że wszystko jest w porządku... W Inspektoracie w ogóle nie było rewidenta, o co niejednokrotnie monitorowaliśmy... Kontrolę nad tego typu szkołą powinien również sprawować odpowiedni Wydział Finansowy... Taksówką w Warszawie byłem raz tylko, wówczas księgowy liceum zapewniał, że kierowca to ojciec uczennicy i wiezie gratisowo.

Z zeznań pracowników kontroli Inspektoratu Oświaty:

Z inspekcji wyżej wymienionej jednostki (liceum w 1971 roku) wyniosłem wrażenie, że jest to placówka dobrze zorganizowana i zagospodarowana... Nic takiego nie zaobserwowałem, co wskazywałoby na bezzasadne wydatkowanie pieniędzy przez dy-

rektora i księgowego szkoły... Główna księgowa Inspektoratu, która bywała w Milejowie często, mogłaby się, choćby przy powierzchownej kontroli, zorientować w nieprawidłowościach finansowych szkoły.

Jedno tutaj trzeba powiedzieć bardzo stanowczo. Nie chciałbym, aby czytelnik odniósł wrażenie, iż większość pracowników Inspektoratu Oświaty czy Kuratorium jadała, piła i balowała w liceum milejowskim. To były sporadyczne przypadki i pojedyncze osoby, a zresztą oskarżenia mogą przesadzać, chcąc się wybielić. Są to ponadto sprawy bardzo delikatne. Jeśli bowiem ktoś z własnych funduszy, grzecznościowo lub na „wszelki wypadek”, postawi wódkę czy wręczy prezencik (choćby beczulkę na wino, pięto wiejskiej kiełbasy) kontrolerowi albo urzędnikowi z nadrzędnej instytucji — nie zawsze rządzi to kolidować z kodeksem karnym, aczkolwiek na ogół jest dwuznaczne moralnie. Lecz jeżeli ktoś tego kontrolera czy urzędnika zabiera z Lublina do Milejowa taksówką, sadza za stołem, gdzie kwitnie bankiet kilkunastoosobowy, kurczęta pieczone, karpie w śmietanie, schabowe i butelki gęsto pełzają po obrusie, a potem urzędnika lub kontrolera wraz z dwoma skrzynkami jabłek odwozi pod chałupę w Lublinie (tą taksówką), przy czym urzędnik i kontroler nie płacą ani grosza — wówczas wiadomo, o co chodzi, nikt nie jest dzieckiem, ktoś w tym uczestniczy i ktoś to toleruje, a ponadto ktoś płaci i ktoś inny może się rewanzować inaczej.

Sprawa nadużyć w szkolnictwie Lubelszczyzny nie jest pierwszą, z jaką na przestrzeni kilku ostatnich lat miały do czynienia sądy okręgu, a często potem Sąd Najwyższy. I znów jedno poważne zastrzeżenie. Tych kilku przypadków, o których parę słów niżej, nie wolno utożsamiać z jakąś totalną korupcją czy nadużyciami finansowymi w szkołach województwa. Mamy rzeszę uczciwych nauczycieli, dyrektorów szkół, wizytatorów. Ale jednak takie smutne przypadki jak sprawa milejowska zdarzają się, i to pomimo rozmaitych obostrzeń dyscypliny szkolnej ze strony władz oświatowych (choćby kategorię zakaz spożywania alkoholu na terenie placówek oświatowo-wychowawczych). O czymś to świadczy.

W słynnej ongiś sprawie dyrektora zasadniczej szkoły zawodowej w Kazimierzu wyrok Sądu Najwyższego zapadł 20 II 1970 roku. Prawie identyczne przestępstwo na przestrzeni siedmiu lat i okoliczności jak w wypadku Milejowa. Wyrok — 6 lat pozbawienia wolności, 15 000 zł grzywny, trzy lata pozbawienia praw publicznych, przepadek części mienia, zasądzony zwrot ponad 160 000 zł.

Niedawno poszła do Sądu Najwyższego rewizja w sprawie księgowej liceum ekonomicznego w Łęcznej. Oskarżona na przestrzeni blisko czterech lat potrafiła, niemal pod samym okiem dwu kolejnych dyrektorów, zagarnąć 244 000 zł. Wyrok Sądu Wojewódzkiego — 8 lat pozbawienia wolności, 25 000 zł grzywny, utrata praw publicznych na 4 lata, zasądzony zwrot zagarniętej kwoty. Znowu ruina finansowa po wyjściu z więzienia. Dla obu

Dokończenie ze str. 3

Był okres, kiedy Lukasiewicz w domu bywał tylko gościem. „Ledwie wróciłem z pracy i usiadłem do obiadu, a już przylatywał goniec z fabryki, żeby iść na pomoc, bo jakaś maszyna stanęła. Potrafili mnie wyrwać w nocy z łóżka, albo dobijając się do drzwi tuż przed świtem. W końcu żona stwierdziła, że jak tak dalej pójdzie, ona nie wytrzyma. Mąż to mąż i musi się od czasu do czasu widywać z rodziną, żeby synowie nie zapomnieli jak ojciec wygląda”.

Te czasy szczęśliwie minęły. Lukasiewicz zdołał wychować sobie zespół ludzi, którzy potrafili pracować i podejmować decyzje samodzielnie. Walnie przyczynił się do tego fakt, że brygadziści nie należą do tych majstrów starej daty, którzy swoją wiedzę kryją przed podwładnymi. Przeciwnie: każdy problem omawiany jest wspólnie. Cenią go i szanują za szczerść, za bezpośredniość, za brak zarożumiałości.

„On ma autorytet wśród załogi — mówiono niejednokrotnie reporterowi — nie z uwagi na silną rękę, ale dlatego, że imponuje wysokimi kwalifikacjami, dobrą robotą i tym, że kiedy zajdzie potrzeba, czas się dla niego nie liczy. Z takimi ludźmi ma się ochotę pracować”.

Z talentem trzeba się urodzić, co do tego nie ma dwóch zdań. Ale też nierzadko jego rozwój zależy od tradycji wyniesionych z domu rodzinnego. I tak właśnie było z Przemysławem Lukasiewiczem. Od dziecka obracał się wśród maszyn i od najmłodszych lat towarzyszył mu dźwięk stali uderzającej w stal.

Urodził się w 1927 r. w Wąwolnicy koło Naleczowa, gdzie ojciec prowadził warsztat kowalski.

WEDŁUG NAS -

Tradycja kowalska była zresztą mocno zakorzeniona w rodzinie, dzisiaj warsztat przejął młodszy brat Przemysława, Tadeusz, a i sam ojciec, choć już mocno wiekowy, macha młotem w niewielkiej wiosce pod Stoczek Łukowski. Przemysław jako dwunastoletni chłopak stanął przy kowalskim miechu, a niedługo później i przy kowadle. Razem z ojcem kuli lemiesz do plugów, podkuwali konie, ale chłopaka najbardziej ciągnęło do maszyn rolniczych, które od czasu do czasu trafiały do reperacji. Zawód kowala był w Wąwolnicy ceniony i szanowany, istniało tutaj kilka kuźni — Scibiora, Lenartowicza, Goławskiego, ale dopiero zawód mechanika jawił się oczom młodego Lukasiewicza jako rzecz godna najwyższego uznania. Nic dziwnego, że w końcu postawił na swoim i, już w czasie okupacji, znalazł się w szkole zawodowej prowadzonej w Kazimierzu nad Wisłą przez dyrektora Piotrowskiego. Była to szkoła na poziomie dzisiejszej zasadniczej szkoły zawodowej, o trzyletnim okresie nauki, a jej pełny tytuł brzmiał: „Elektromechaniczna Szkoła Państwowych Zakładów Tele i Radiotechnicznych w Kazimierzu Dolnym”. Szkoła pracowała pod czujnym okiem administracji niemieckiej i stąd najczęściej Niemcy zabierali absolwentów przymusowo do Warszawy, gdzie musieli pracować w jakichś zakładach trudniących się produkcją dla wojska.

Tutaj przydały się Lukasiewiczowi umiejętności wyniesione z ojcowskiej kuźni. Ucząc się na pierwszym roku w warsztatach odbywał ćwiczenia z trzecim rocznikiem uczniów. Byłby pewnie skoń-

czył tę szkołę z odznaczeniem gdyby nie fakt, że wcale mu się nie uśmiechała praca dla Niemców. W odpowiednim momencie nie stawiał się na egzamin czeladniczy i zaopatrzony w lewe papiery pomocnika mechanika w parowozowni kolejki wąskotorowej w Karczmiskach, reperował maszyny rolnicze w Wąwolnicy.

„Zawsze ciągnęło mnie do wielkiego miasta — mówił Lukasiewicz. — Wielkie miasto to również wielkie zakłady przemysłowe wyposażone w skomplikowane maszyny. Maszyny zawsze fascynowały mnie swoją złożonością, zagadką która się kryła w ich wnętrzu, a którą trzeba przy każdej awarii w inny sposób rozwiązywać. Dlatego zaraz po wyzwoleniu przeniosłem się do Lublina, bo kojarzył mi się on wówczas z techniką i wielkim przemysłem. Ale na miejscu rzeczywistość okazała się trochę inna. No i zdałem sobie przy tym sprawę, że od kuźni w Wąwolnicy i szkoły w Kazimierzu do zawodu mechanika droga bardzo daleka. Na początek ojciec, który miał w Lublinie trochę znajomości, wkroczył mnie do znajomego przedsiębiorstwa. Pewnie mało kto dzisiaj pamięta, przy ulicy Rusalka mieściły się warsztaty remontowe spółki samochodowej Duni i Janickiego. Było to takie mikroskopijne przedsiębiorstwo komunikacyjne, mieliśmy sześć czy siedem autobusów zwanych popularnie „stonkami”. Na podwoziach ciężarówek z demobilu — „sztudebakerów”, i „dzemsów” — umieszczono drewniane, oszkłone budy i te dość skardane i ciężko nawalające wbiły kursowały z Lublina do Karczmisk, Bełżyca i Chodła. W tej

dyrektorów zaś — w kontekście absurdalnego wprost niedopełnienia obowiązków służbowych — wysokie kary grzywny. Księgowa prowadziła swoją działalność bezkarnie w okresie 1968—1972 r. mimo wrywkowych kontroli finansowych ze strony Kuratorium, dopiero ostatni dyrektor zorientował się po pewnym czasie. W uzasadnieniu wyroku Sąd Wojewódzki zauważył: Wymierzając karę oskarżonemu, sąd miał na uwadze względy prewencji ogólnej i ciężle jeszcze dużą ilość tego rodzaju przestępstw na terenie województwa lubelskiego.

Widać jednak surowe wyroki nie odstraszały kolejnych amatorów szkolnych pieniędzy, skoro całkiem niedawno wykryto nadużycia finansowe w dwu szkołach Lublina i toczą się odpowiednie dochodzenia. Mechanizm takich przestępstw jest bardzo znamieny. Główni oskarżeni to najczęściej ludzie o doskonałej opinii u władz zwierzchnich, choć swymi, na pozór doskonale się rozwijającymi placówkami, rządzą po dyktatorsku, nie licząc się ze zdaniem kolektywów szkolnych. Miejscowi ludzie się ich boją, władze szkolne im ufają i... nie kontrolują. Tworzy się gra pozorów, nieformalnych uzależnień i kontaktów, aż wreszcie ktoś się zdecydował: niech bieda śpi, a interes kwitnie! Kończy się z reguły przed sądem, gdzie nie ma już tolerancyjnych protektorów, życzliwych przyjaciół biśiadnych. I jak się wtedy czują ci, co z oskarżonymi popijali, polowali, rydze zbierali?...

Nie obrażając rzęsy uczciwych ludzi w zawodzie nauczycielskim — nie widzę przyczyn, żeby o takich sprawach sądowych milczeć. I tak wszyscy o nich na ogół wiedzą, a milczenie prasy stwarzałoby fałszywą sugestię, że szkolnictwo (może tylko szkolnictwo Lubelszczyzny?) jest nietykalne pod względem opinii publicznej. Ale dziennikarz ma też obowiązek pomyśleć nad kwestią, skąd te sprawy się biorą?

Funkcje kontrolne Kuratorium oraz Inspektoratu Oświaty (jeśli by szło o stronę ekonomiczną placówek dydaktyczno-wychowawczych) wyglądają raczej mizernie i warto by usłyszeć, co bezpośrednio zainteresowani na to? I jak długo jeszcze? Przecież najprostszą kontrola w Milejowie mogłaby — w opinii inspektorów IKR — wykryć prymitywne kandydy dyrektora i pozostałych. Takiej kontroli latami nie było! Zaś sprawę kazimierską ujawnił dopiero IKR, a potem organa ścigania i sądy zajęły się nią skutecznie. Szkoda że znacznie wcześniej i znacznie więcej nie mieli z tym roboty wizytatorzy ze strony władz oświatowych.

U najgłębszego jednak podłoża takich spraw znajduje się — moim skromnym zdaniem — polityka kadrowa, a raczej tej polityki smutne marginesy, bo znowu o całości nie można wnioskować na podstawie wrywkowych przykładów. Ktoś jednak zatwierdzał na stanowisko księgowego w Milejowie człowieka z wykształceniem w zakresie dwuletniej szkoły mechanizacji rolnictwa, ktoś znalazł podstawy, żeby dyrektora liceum ekonomicznego w Łęcznej awansować na stanowisko naczelnika Działu Organizacyjno-Administracyjnego Kuratorium, a potem, gdy wyszły na jaw skandaliczne zaniedbania obowiązków służbowych przez tego człowieka jako dyrektora w Łęcznej, „zdegradować” go do rangi wicedyrektora jednej ze szkół lubelskich. Jakże rozpoznanie podlegających im kadr posiadają: Inspektorat i Kuratorium? Jakże istnieje rozpoznanie kadr samego Inspektoratu i Kuratorium? Czyżby nie dotarła do nas ta prosta prawda, iż w zawodzie nadal znajdują się ludzie przypadkowi, którzy dostali się tam wówczas, kiedy dla szkolnictwa nie było może tak ewidentnych perspektyw rozwoju jak dzisiaj?

Maciej Podgórski



Fot. Z. Zugał

Szpital dawnego Lublina

Maria Kobylińska-Szymańska

W DAWNYCH wiekach szpital nie był miejscem leczenia chorych, lecz raczej spełniał funkcję przytułku dla ubogich, leczeniem zaś zajmował się w ramach ogólnej troski o swych pensjonariuszy. W dużych miastach szpitale, zajmujące się leczeniem, były również traktowane jako instytucje przeznaczone dla ludności niezamożnej.

Aż do XIX w. szpitale były głównie instytucjami kościelnymi. Pomijając przytułki prowadzone przez zakony, szpitale dzieliły się na dwie zasadnicze grupy: prepozytury i szpitale parafialne. Różnicę stanowiło ich miejsce w administracji kościelnej. Prepozytury, czyli probostwa szpitalne, były samodzielnym organizmem administracyjno-gospodarczym. Szpitale parafialne stanowiły agendę parafii i były przez nią utrzymywane. Wraz z rozwojem miast coraz większą rolę w dziejach szpitalnictwa odgrywały władze miejskie, które nieraz same fundowały szpitale i je finansowały. Potrzeby społeczne narzucały miastom konieczność posiadania przytułków i miasta przyczyniały się swymi funduszami do prowadzenia szpitali. Nie wchodząc głębiej w zagadnienie organizacji szpitali w dawnej Polsce warto przedstawić pokrótce mniej znany problem opieki nad dzieckiem w XVI w. na przykładzie Lublina.

W dawnym Lublinie opiekę nad dzieckiem chorym i porzuconym sprawowały przede wszystkim szpital i rada miejska. Pierwszym dokumentem traktującym o Szpitalu Świętoduskim jest pismo lubelskiej rady miejskiej do biskupa krakowskiego z 23 listopada 1419 r., w którym

zawarta jest informacja o wystawieniu kościoła Sw. Ducha z domem szpitalnym poza murami miejskimi. Przywilej erekcyjny został wydany 10 marca 1421 r. przez biskupa krakowskiego Wojciecha Jastrzębca. Celem powołania do życia probostwa szpitalnego było utrzymanie szpitala miejskiego pod nadzorem kościoła i zarządem prepozyta. Natomiast patronat nad szpitalem pełniła rada miejska. Zarząd szpitala był w Lublinie, podobnie jak i w innych miastach, mieszany, gdyż obok prepozyta istnieeli i zarządcy-prowizorzy świeccy. Prowizorów, albo inaczej prokuratorów, było dwóch; wybierano ich corocznie, jednego z grona rajców, drugiego spośród mieszczan. Do ich obowiązków należało przyjmowanie chorych i ubogich do szpitala, zaopatrywanie biednych w odzież i żywność, na trzy dania potrawy takie urządzając. Prowizorzy administrowali dochodami szpitala i ze swych czynności zdawali corocznie sprawę przed radą miejską. Przebywanie w szpitalu przytułku było w zasadzie bezpłatne dla osób biednych, które nie stanowiły jednak jedynych jego pensjonariuszy. Ze szpitala korzystały różne stany, leczyla się tam nawet szlachta.

Na podstawie przeprowadzonych na początku XVII w. wizytacji szpitala możemy odtworzyć sobie jego wygląd, wielkość i stan chorych. Posiadał on cztery pomieszczenia wraz z przylegającymi do nich ogrodami, front stanowił wyższy budynek z trzema wieżyczkami od strony południowej. Był murowany i od strony wschodniej graniczył z prezbiterium kościoła Sw. Ducha. Na dole znajdowała się sala dla

35 kobiet i 15 dziewcząt, oraz druga izba dla 55 mężczyzn. Na dziedzińcu stały dwa dalsze pomieszczenia szpitalne, a od strony północnej trzeci budynek, w którym mieszkał kwestor i kanonik. Od strony zachodniej stał budynek, w którym znajdowała się piekarnia oraz mieszkania dla służby, a także izba dla chorych (40 miejsc dla mężczyzn oraz 15 dla chłopców). Ogółem szpital mógł pomieścić na początku XVII w. 160 chorych i ubogich. Służba szpitalna składała się z chirurga i czterech pielęgniarek.

Szpital posiadał także 30 miejsc dla dzieci chorych i porzuconych, często przez kobiety niezamężne lub rodziców nie mających środków na wyżywienie dziecka. Takie porzucone dzieci przetrzymywano do czasu znalezienia dla nich przybranych rodziców. Koszt wyżywienia takich dzieci pokrywała rada miejska i w księgach miejskich spotykamy nieraz wzmianki o wydatkach na mleko dla niemowląt porzuconych. Uzyskanie przez matkę alimentów dla jej nieślubnego dziecka było rzeczą trudną, o czym świadczy przykład z 1529 r., kiedy to kobieta imieniem Barbara, oskarża Macieja, towarzysza sztuki drukarskiej, o to, że jej obiecał małżeństwo, pozwał ją panieństwo i został ojcem jej dziecka, na którego utrzymanie nie chce nie płacić. Sama wydała już jedną grzywnę na utrzymanie niemowlęcia, lecz z powodu posiadania dziecka nie może pracować jako służąca. Oskarżony Maciej po prostu zaprzeczył temu, że jest

Dokończenie na str. 11

ŁUKASIEWICZ!

spółce pracowałem przez rok, trochę jako ślusarz, trochę jako konduktor, bo każdy musiał umieć robić wszystko w zależności od potrzeby. Tylko, że mnie taka praca na długą metę nie odpowiadała. Zdawałem sobie sprawę, że w taki sposób do niczego w życiu nie dojdę."

We wrześniu 1947 r. Łukasiewicz zapisał się do Gimnazjum Mechanicznego im. Stanisława Syrozińskiego na Czwartku. Szkolne warsztaty mechaniczne mieściły się niemal na drugim końcu miasta, przy ulicy Długosza, i tam najczęściej prześladywał Przemysław. Po krótkim czasie instruktorzy zorientowali się, że tylko on potrafi znaleźć sposób na ciągle psujące się, zdezelowane pomieszczenia, i co rusz odrywali go od normalnych zajęć szkolnych. Może trochę popsuły tymi sukcesami, po zrobieniu tzw. małej matury Łukasiewicz nie poszedł do liceum, ale za namową starszych kolegów wyjechał do Łodzi — gdzie od razu znalazł pracę w Włocławskiej Fabryce Maszyn Włókienniczych „WIFAMA”.

Mimo wszystko chyba nie postąpił najgorzej, bo miał tutaj ogromne możliwości praktyki na różnych typach maszyn, od tych najstarszych, pamiętających jeszcze dziewiętnaste stulecie, po najnowsze zdobycze techniki. Jak wszędzie wówczas, brak było rąk do pracy, awansowano szybko i Łukasiewicz zaniem się obeznan, był już kierownikiem brygady remontowej.

Tak to, jako dwudziestolokuletni mężczyzna, znalazł prawdziwe powołanie. Ale zarazem trawił go duch niespokojny, każąc przenosić się z miejsca

na miejsce, z tym jednak, że każde miejsce znajdowało się bliżej Lublina. A poza tym, jako człowiek rodzinny, tęsknił do przysiadłej pod Nałęczowem Wąwolnicy, gdzie mieszkała matka, siostry i brat i gdzie można było, dla zachowania wprawy, stanąć przy kowadlu. No i wziął sobie za żonę dziewczynę z pobliskiej wsi Łąki, która jakoś nie mogła zapomnieć o nadwiślańskich piaskach.

Było więc kilka lat przeżytych w Poniatowej, gdzie urodziło się dwóch synów — Andrzej i Marek, i gdzie Łukasiewicz, w ówczesnych Zakładach Wytwórczych Sprzętu Instalacyjnego, dał się poznać jako człowiek „do wszystkiego”: pracował w dziale planowania, i jako kierownik sekcji maszyn i urządzeń. Kiedy było trzeba, stawał w charakterze konstruktora przy rajzbrenie, a i rysunki budowlane przyszło mu nie jeden raz wykonywać. Ale co po uznaniu przełożonych, dobrym mieszkaniu służbowym, nagrodach i pochwałach, kiedy ten człowiek o złotych rękach nie mógł dziwnym zbiegiem okoliczności oddać się pracy, którą najbardziej lubił, to znaczy stanąć przy warsztacie, przy rozbitej obrabiarkie czy wiertarce, którą należy uzdrowić? Było więc następnym jedenaście lat przeżytych w Krańniku Fabrycznym, gdzie urodził się syn najmłodszy — Krzysztof, i gdzie ugryntowała się sława brygadziasty Łukasiewicza, który z każdą maszyną dał sobie radę.

Nic więc dziwnego, że kiedy przed siedmiu laty Łukasiewicz został zwerbowany przez głównego mechanika, inżyniera Wójcika, do Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie, czekało już na

niego trzypokojowe mieszkanie, co stanowi w warunkach lubelskich miarę najwyższego uznania kwalifikacji zawodowych pracownika.

W ten oto sposób koło się zamknęło. Przemysław Łukasiewicz w wieku lat czterdziestu osiągnął to, o czym marzył od dziecka: pracę odpowiadającą jego zamiłowaniu, szacunek otoczenia i wygodny kąt do życia w ulubionym mieście. Zachowana została również w rodzinie tradycja zawodowa: najstarszy syn, Andrzej, skończył Zasadniczą Szkołę Zawodową Urządzeń Sanitarnych, drugi syn, Marek, pracuje w FSC jako mechanik-kierowca uczęszczając jednocześnie do Technikum Samochodowego dla pracujących, najmłodszy, Krzysztof, uczy się w Technikum Budowlanym. Z synami idzie o lepsze matka, robiąca zaocznie maturę ogólnokształcącą w szkole przy ulicy Długosza, w tym samym miejscu, z którego przed laty jej mąż wyruszał do odległej Łodzi.

I to jest, jak dotąd, wszystko najważniejsze, co wydarzyło się w życiu Przemysława Łukasiewicza. Wracając w wietrzny, wiosenny wieczór z jego mieszkania przy ulicy Łęczyńskiej, reporter przypomniał sobie słowa jednego z pracowników FSC na temat brygadziasty: „Człowiek o złotych rękach. Człowiek rozumiejący potrzebę. Uczciwy i wewnętrznie zdyscyplinowany. Łukasiewicz, to miarka tego, czego szukamy w zakładzie. Gdybyśmy mieli na wydziale kilkunastu Łukasiewiczów!!!”

Tak powiedział kierownik wydziału, inżynier, zwierzchnik. Jeden z kolegów-robotników wyraził to samo w sposób jeszcze bardziej zwięzły i treściwy. Podczas dyskusji na temat współczesnego bohatera pracy socjalistycznej, zorganizowanej w FSC przez „Trubunę Ludu”, ów robotnik wstał i oświadczył: „Według nas — Łukasiewicz”.

Mirosław Derecki

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wpród nakryć własnym sercem
jak gdyby drugim niebem

JAN POCEK

ZAPOLE

Nr 1 (23)

21 IV 1974

ROK VIII

KOESPONDENCYJNY KLUB MŁODYCH PISARZY—OSRODEK LUBELSKI PRZY ZW ZSMW

NOTUJEMY

W dniach 10–11 lutego br. odbył się w gmachu NK ZSL w Warszawie V Krajowy Zjazd Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, działającego pod patronatem ZSMW. W Zjeździe obok zaproszonych gości, przedstawicieli Wydziału Kultury KC PZPR, Rady Głównej FZSMP, ZG ZSMW, uczestniczyło ponad 150 pisarzy, poetów i działaczy kulturalnych Klubu z całego kraju. Dokonali oni oceny dotychczasowej działalności Klubu zapoznając się równocześnie z aktualnymi kierunkami i tendencjami w literaturze, które przedstawili w referatach dr Zygmunt Ziątek z IBL PAN oraz dr Jan Witani z UW. Referat programowy „U progu nowego XV-lecia” wygłosił Jan Z. Brudnicki. W bogatej dyskusji mówcy wskazywali na konieczność dalszej aktywizacji środowisk młodzieży wiejskiej oraz aktywnego działania na rzecz rozwoju kulturalnego regionów. W drugim dniu Zjazdu prof. Kazimierz Zygułski przedstawił w swym wystąpieniu prognozy kultury polskiej oraz perspektywy jej rozwoju. Kierownik Wydziału Kultury ZG ZSMW, Franciszek Miodura dokonał oceny dotychczasowego dorobku KKMP, akcentując konieczność ściślejszej współpracy młodych twórców w realizacji inicjatyw społeczno-kulturalnych organizacji, które należy szerzej dyskutować w procesach przeobrażeń wsi polskiej. Dyskutancki akceptując te postulaty rozważał w swych wystąpieniach sprawę poszerzenia nazwy, a zarazem sfery działania Klubu, który winien skupiać i integrować wszystkich młodych i twórczymi aspiracjami i dokonaniem, nie tylko pisarzy. Obrady Zjazdu zakończyły wybory nowych władz KKMP.

W głosowaniu jawnym V Zjazd dokonał wyboru 33-osobowej Krajowej Rady i Sekretariatu. Przewodniczącym został wybrany ponownie Jan Z. Brudnicki, wiceprzewodniczącymi: Roch Sulima (Warszawa), Wiesław Kolarz (Kraków), Krzysztof Zuchora (Warszawa) i Edward Zyman (Katowice). Powołano również Radę Programową, w skład której weszli obok działaczy KKMP — pisarze, krytycy, filolodzy i socjologowie. Z lubelskiego ośrodka KKMP członkiem Krajowej Rady został Jerzy Jedziniak, a Rady Programowej — Dominik Opolski.

Podczas Zjazdu wieloletni działacze Klubu wyróżnieni zostali Złotą Odznaką ZSMW, Srebrnymi i Złotymi Odznakami Janka Krasickiego oraz odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. Te ostatnią wśród czterech odznaczonych otrzymał Jerzy Jedziniak z Lublina.

W pierwszym dniu Zjazdu otwarta została w gmachu NK ZSL wystawa wydawnictw, rzeźby grafiki i malarstwa członków KKMP. Lubelski ośrodek reprezentowali swymi pracami plastycznymi Adam Fiala, Dominik Opolski, Wiesław Sosnowski i Zbigniew Strzałkowski, który oprowadzał po wystawie.

Z okazji V Zjazdu KKMP ukazało się kilka publikacji. Są to: katalog wspomnianej wystawy pn. „Malarstwo, rzeźba, grafika”, obejmujący wykaz eksponowanych prac plastyków oraz reprodukcje, wydany przez ZG ZSMW, który też był mecenasem almanachu pt. „Krajobrazy”, zawierającego wybór wierszy 33 młodych autorów, którego dokonał Tadeusz Chudy przy konsultacji literackiej Rocha Sulimy. Niezmiernie cenna pozycja stanowi „Informator bibliograficzny KKMP 1959–1974” opracowany przez Renę Marciniak i Władysława Wągla, opatrzony wstępem przez Bronisława Gębrowskiego, a zawierający nie tylko chronologiczny wykaz książek autorów KKMP wraz z recenzjami i biografiami, lecz także wykaz almanachów, arkuszy poetyckich, jedno- i dwu- i trzypięciokwartalników KKMP, wzniesionych artykułów o KKMP oraz listę członków Klubu należących do ZLP, wykaz używanych skrótów i indeks nazwisk.

Warto dodać, iż „Regiony” (dotychczasowy Biuletyn kwartalny KKMP) od numeru 5/77, które ukazały się na Zjeździe są obecnie kwartalnikami społeczno-literackimi, którego wydawcą jest KKMP przy ZG ZSMW.

Wśród imprez towarzyszących niezmiernie ciepły akcent stanowiło spotkanie uczestników Zjazdu z Jarosławem Iwaszkiewiczem, połączone z prezentacją jego twórczości przez aktorów scen warszawskich. Świetny recital tekstów poetyckich zaprezentowała W. Warska z własną orkiestrą. Montaż poetycko-artyściyczny, złożony z utworów członków KKMP pt. „Krajobraz rodzinny”, w wykonaniu studentów warszawskich wyższych szkół artystycznych i reżyserii Wojciecha Stemplona, zakończył imprezy wieczorne pierwszego dnia Zjazdu.

Halina Górska

PRZEDPOŁUDNIOWE MYŚLENIA

do zenitu brak jeszcze
kilku kroków
parno i duszno
w miejskim parku siedzieć

trawa zieleni wolną przestrzeń oczu
odpocząć
nieco za wcześnie

potrzeba wlotu
myśli wolnej
gdy czerwone kreski
słońce stawia
w codziennej gonitwie
za wszystkim co ludzkie
na liściach
kalendarza

Ryszard Kornacki

potykam się
o każdy dzień
o każdą noc

bezzadnie patrzę
w bieg za czasem

za światem
który umyka mi z dłoni
nadążyć muszę

i wiem
przerosną siebie
ptakiem się stanę

Bolesław Momot

a w stawie
bocian mową
wygłaszał
do żaby
samotnej
i długim dziobem języka szukał
na patkach stał
wieść radosną
konfratom obwieszczał
na klekot i polykanie
po wodzie dziobem
jak smykem pociągał
żołędek taraban udawał
na ucztę zapraszał

Młodzi i najmłodszy

1 KWIETNIA br. znany czytelnikom „Magazynu Młodych” (dodatek „Sztandaru Ludu”) felietonista, ukrywający się pod wdzianym pseudonimem „Laura”, nadesłał nam list, który przypisał nas... o powyższy tytuł!

Pisze bowiem ni mniej ni więcej, że zaprzestał wietrzenia tanich sensacji i poszukiwania „lebskich imprez”, a zaczął poważnie zastanawiać się nad rolą i funkcją współczesnej poezji w jej odbiorze społecznym. Co więcej, doszedł do wniosku, iż wielu młodych adeptów pióra, spod znaków różnych lubelskich klubów literackich, nawet tych in spe, winno mieć

POŻEGNANIE

— chciałoby się
uchwycić w cugle nozdrzy
ten zapach
i po to tylko
rękę wyciągać trzeba
by kościelnego dziada
a ja chciałem
uczynić wiersz
z twoich szeptów

i gdybyś mi
powiedziała wtedy
jaką koleją rzeczy
mkną pociąg losu
wpisałbym
twoją jesienną dłoń
w kartki wiosennego pamiętnika

a ty nie zostawiłaś
nawet śladu
zabłoconych butów
na mojej drodze

Anna Waszczuk

choćcie tutaj
wy wszyscy
których zawsze
można zastać w domu
i w którym
kurz o łydki stuka

choćcie —
gdzie czerwień
jako czerwień
istnieć już nie może —
rybocy koloru
i słów przemytnicy

choćcie —
tutaj metaforę prażę
i z głów nabitych
wydrapuję mszyce

choćcie
tasadejom podobni
zmierzymy się czasem
i wy skaleczeni przestroją
nierozważni gracze
i wy z kosmopolitycznym
potem
choćcie tutaj wszyscy
powiem wam prawdę
o naszej matce

Stanisław Żurek

plyń moja arko przez ogień
świat cały płonie
we mnie
potop krwi trwa już tyle lat

OPTYMISTYCZNY LIST

poezji, jak to jest np. w Kraju Rad czy Czechosłowacji, gdzie młodzi autorzy są na cenzurowanym czytelników. Ma to niewątpliwie pozytywny wpływ na twórczość młodych, którzy nie noszą się ze swymi utworami, jak



Fot. L. Leo

zabrałem ze sobą
wszystkie gatunki istnień
przeżyją we mnie do brzegu

plyń arko mojego ognia
do dna

zapałem się siebie
i wydałem oprawcom

przybity do kości poznałem
cierpienia rozkoszy i niejedną
rozkosz bólu
zgrozdzony tłum kamieni płakał
choć nie wiedział judaszem jestem
czy zbawicielem

jednak nie wybaczył

ZAPOLE Nr 1 (23)
opracował Jerzy Jedziniak

kura z jajem, lub „pan Janek” po „Chatce Zaka”, w poszukiwaniu adwersarzy i odbiorcy, lecz mając prawo do twórczego eksperymentu i poszukiwań, oceniani są w odbiorze społecznym.

Nic dodać, nic ująć!
Cieszyć się tylko, że wreszcie „Magazyn Młodych” obok artykułów „O radości życia ZHP” otworzy swe łamy również na prezentacje twórczości młodych autorów lubelskich szerokiemu odbiorcy, obok rzetelnej informacji — nie tylko z okazji ogólnopolskich zjazdów — o pracy i osiągnięciach poszczególnych lubelskich klubów młodoliterackich.

Zważywszy też, że „Laura” zgłasza akces do powołanej przez siebie „spółdzielni zbieracz”, parając się zbieraniem ciekawych tekstów odosobnionych młodych autorów lubelskich, celem prezentowania ich czytelnikom — nasz optymizm wydaje się uzasadniony.

Laxigen

INTELIGENCJĘ kształcą wszystkie wyższe uczelnie, ale szczególną rolę spełniają uniwersytety. W nich właśnie skupiona jest większa część kadry reprezentującej nauki humanistyczne i przyrodnicze. Uczelnie te prowadzą badania i kształcą kadry w zakresie wszystkich dyscyplin podstawowych i pokrewnych. Szczególnie ważnymi i perspektywicznymi są te dyscypliny, które powstały i rozwijają się na bazie nauk podstawowych, np. chemia teoretyczna i chemia fizyczna, biofizyka, i biochemia, elektronika kwantowa i fizyka ciała stałego, astrofizyka i kosmogonia, cybernetyka ekonomiczna i matematyka stosowana itp.

W uniwersytetach powstają nowe teorie, nowe kierunki naukowe, a ich wyniki są z powodzeniem wykorzystywane w produkcji. Wnoszą one duży wkład w proces przyspieszenia tempa rozwoju naukowo-technicznego. Kształcą wysoko kwalifikowane kadry dla różnych gałęzi gospodarki narodowej, kultury, dla instytucji partyjnych i państwowych.

KPZR i PZPR, nasze rządy okazują wyjątkową troskę i zainteresowanie problemem wychowania i nauczania przyszłych budowniczych socjalistycznego i komunistycznego społeczeństwa. Wykładowcy i studenci powinni uczynić wszystko, aby nie zawieść tego zaufania.

Wiek XX przyniósł szereg ważnych odkryć w dziedzinie fizyki, chemii i biologii. Ale najważniejszym osiągnięciem XX w. jest socjalistyczna przebudowa społeczeństwa, dzięki czemu zostały nawiązane stosunki między narodami, bezinteresowna bohaterska przyjaźń między krajami socjalistycznymi. Przykładem takiej przyjaźni jest współpraca między Uniwersytetem Erewańskim a Uniwersytetem im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Umowa o współpracy została zawarta w 1971 r. Dokument ten zakładał wymianę informacji naukowej, organizowanie wspólnych sympozjów i konferencji, wymianę pracowników naukowych i studentów. Rektoraty i organizacje partyjne obu uniwersytetów zainteresowane są dalszym pogłębianiem i rozszerzaniem kontaktów naukowo-kulturalnych. Należy przy tym nadmienić, że współpraca między naszymi uniwersytetami nie jest bynajmniej przypadkowa. Od dawna znane są dobre stosunki między narodami ormiańskim i polskim.

Współpraca między uczelniami układa się pomyślnie. Niedawno docent Dubasowa i prof. Gąsior z UMCS gościli w Uniwersytecie Erewańskim, ja zaś przybyłem do Lublina, gdzie prowadziłem wykłady z chemii teoretycznej. Profesorowie Waksmundzki, Barcicki i Ościk, doc. Szczypa i dr Rudziński zapoznali mnie z zakładami i laboratoriami Instytutu Chemii UMCS, a prof. Lorkiewicz i Gąsior z niektórymi laboratoriami Instytutu Biologii. Zapoznałem się także z problematyką badań prowadzonych w obu Instytutach. Chcę podkreślić, że wszystkie laboratoria, które miałem możliwość obejrzeć, posiadają bardzo dobrą bazę naukowo-techniczną, wyraźną, mającą określony cel problematykę badań oraz znakomitych kierowników naukowych w osobach wybitnych uczonych.

Jako chemik chciałbym powiedzieć kilka słów o zakładach i laboratoriach Instytutu Chemii UMCS, a w

szczególności o laboratorium chemii fizycznej — radiochemii i technologii chemicznej. Kierownikiem Zakładu Chemii Fizycznej jest prof. dr A. Waksmundzki, wybitny uczony, znany i poza granicami Polski. Stworzył on własną szkołę w dziedzinie chromatografii, wychował wielu uczniów, którzy pracują w Instytucie Chemii UMCS i w innych placówkach naukowych

WSPÓŁPRACA UMCS I UNIWERSYTETU EREWAŃSKIEGO

PRL. Prof. Waksmundzki żywo reaguje na każdą nowość. Tworząc nowe zespoły naukowe, kieruje tam swoich najzdolniejszych uczniów. Tak powstały, na przykład, zespół chemii teoretycznej, pracujący pod kierunkiem młodego zdolnego dr. W. Rudzińskiego oraz Zakład Radiochemii pod kierunkiem energicznego i zdolnego doc. J. Szczypa. Obaj są uczniami prof. Waksmundzkiego. Są również nimi: obecny dyrektor Instytutu Chemii prof. dr Ościk, znany specjalista w zakresie adsorpcji i prof. dr Barcicki, twórca ciekawej teorii dotyczącej katalizy heterogenicznej. Jestem przekonany, że teoria ta w niedalekiej przyszłości znajdzie powszechne uznanie wśród specjalistów w Polsce.

Możemy bardzo wiele nauczyć się w Lublinie. Jestem za tym, by sympozja chemików organizowane były właśnie w UMCS.

W ciągu 25 dni mojego pobytu w Lublinie zawsze spotykałem się z niezmiernie ciepłym przyjęciem i serdecznością. Chciałbym za to bardzo serdecznie podziękować moim przyjaciołom.

Podczas pobytu w Lublinie zapoznałem się również z bogatą historią narodu polskiego. Miałem okazję obejrzeć Długożycki i historyczne. Zapoznałem się także z osiągnięciami narodu polskiego w dziedzinie ekonomiki, nauki, kultury i budownictwa miejskiego. Jestem przekonany, że tylko zdolny i pracowity naród mógł stworzyć takie arcydzieła architektury i sztuki, wydać ludzi takich wielkich uczonych, myślicieli, poetów, pisarzy, kompozytorów, działaczy społecznych i państwowych. Wszystko to wywiłało we mnie uczucie głębokiego szacunku i wielkiej sympatii dla wielkiego narodu polskiego. Ogromne osiągnięcia XIX-lecia świadczą o wielkich możliwościach wszechstronnego rozwoju Polski Ludowej.

Korzystając z okazji, chciałbym przekazać kilka informacji o naszej uczelni.

Uniwersytet Erewański powstał w 1930 r. Z biegiem czasu wyodrębniło się z niego kilka samodzielnych uczelni: Instytut Politechniczny, Instytut Medyczny, Instytut Rolniczy, Instytut Pedagogiczny. Na bazie Uniwersytetu powstała również Ormiańska Akademia Nauk. Obecnie uczelnia posiada 13 wydziałów, 87 katedr, w których pracuje 1140 pracowników naukowych i 320 aspirantów. Mamy 8 laboratoriów (3 fizyczne, 2 chemiczne, 2 biologiczne, 1 humanistyczne). Księgozbiór liczy około 1,4 miliona tytułów. Uniwersytet posiada własną drukarnię i wydaje 4 czasopisma naukowe.

Obecnie kształcą się u nas około 11,5 tys. studentów na studiach stacjonarnych, wieczorowych i zaocznych. Co roku około 18 osób otrzymuje stopień doktora (odpowiednik polskiego docenta) i 130 osób stopień kandydata nauk (odpowiednik polskiego doktora).

Uczelnia utrzymuje ścisłe kontakty z wieloma uniwersytetami w ZSRR i zagranicą, wymieniając prace naukowe, podręczniki, monografie. Należy wspomnieć, że studuje również liczna grupa studentów zagranicznych. Wśród wykładowców uczelni jest 95 akademików, członków — korespondentów, doktorów oraz 450 doktorów nauk.

A oto główne wydziały Uniwersytetu: Mechaniczno-matematyczny, Maszyn numerycznych, Fizyki, Chemii, Geologii, Biologii, Geografii, Historii, Ekonomicznej, Filologicznej, Orientalistyki, Prawa i Towaroznawstwa. Ponadto istnieją jeszcze 3 wydziały o nieco odmiennym specyfice: Podwyższanie kwalifikacji kadry kierowniczej, Podwyższanie kwalifikacji wykładowców szkół wyższych ZSRR w dziedzinie matematyki, chemii i mechaniki, Wydział przygotowawczy dla obcokrajowców rozpoczynających studia w ZSRR.

Jak zaznaczyłem, współpraca między naszymi uniwersytetami układa się pomyślnie. Pod koniec 1974 r. wspólnymi siłami zostanie zorganizowane sympozjum poświęcone XXX-leciu PRL. W 1975 roku odbędzie się sympozjum na temat aktualnych problemów chemii. Intensywnie rozwija się wymiana delegacji, profesorów, stażystów, studentów, zespołów artystycznych oraz prac naukowych, artykułów.

Prorektor do spraw nauki
Uniwersytetu Erewańskiego
dr nauk technicznych
PROF. K. E. CHACZATURIAN

Snobizm, czy zmysł praktyczny?

Jerzy Falieki

NA początku był snobizm i chęć olśniewania innych, uboższych. Dziś nie można już mówić o snobizmie jako głównym motywie działania ponad 80 000 miejskich rodzin francuskich, które posiadają drugą rezydencję na wsi. Moda, owszem, lecz moda racjonalnie uzasadniona, korzystna z punktu widzenia społecznego, a przede wszystkim zbawienna dla zabytków. W latach pięćdziesiątych, z inicjatywy ówczesnego ministra Kultury, znanego pisarza André Malraux, dokonano wstępnej inwentaryzacji zabytkowych obiektów architektonicznych na terenie całej Francji. Okazało się, że istnieje tam ponad ćwierć miliona budynków najróżnorodniejszego przeznaczenia, z których najstarsze sięgają czasów rzymskich, bardzo liczne pochodzą ze średniowiecza, nie mówiąc już o epokach nam bliższych. Stan tych obiektów w przeważającej części był opłakany, chociaż kamień, tradycyjny budulec francuski, na ogół dość dobrze opiera się zębowi czasu. O skali problemów mówi między innymi fakt, że średni wiek zabudował w fermach Owernii, Bretanii i wielu regionów południowo-zachodnich wynosił 200 lat.

Struktura rolnictwa francuskiego (nierentowność mniejszych ferm i scalenie gruntów w większe, zmechanizowane jednostki agrarne), dynamiczny rozwój przemysłu i atrakcyjność wielkich ośrodków miejskich spowodowały wyludnienie wsi w takim stopniu, że do powstania takich zjawisk należały wsie z opuszczonymi i zaniedbanymi domostwami. Mecenat państwowy objąć mógł zaledwie kilka większych zespołów zabytko-

wych. Pewną ich częścią opiekowały się lokalne syndycats d'initiative (organizacje zrzeszające ludzi zainteresowanych rozwojem turystyki: hotelarzy, przewodników, restauratorów, producentów, sprzedawców pamiątek itp.). Pozostało ok. 80% zabytków bezpańskich, a jeśli nawet miały właścicieli, to nie byli oni w stanie zapobiec niszczeniu tych cennych obiektów.

W tej sytuacji dalekowzroczni działacze resortu kultury i instytucji odpowiedzialnych za ochronę zabytków wszczęli energiczną propagandę na rzecz uruchomienia czegoś w rodzaju prywatnego mecenatu, wytworzenia mody na urządzenie letnich lub weekendowych siedzib poza zatłoczonymi miastami.

Sprawa ma swoje oblicze socjo-psychologiczne, chodzi bowiem przede wszystkim o stworzenie warunków czynnego wypoczynku. Mieszkańcy miast, nabywający za bezcen zabytkowe obiekty, angażują w nie nie tylko swoje środki finansowe, ale stają się majsterkowiczami: sami odbudowują, remontują i adaptują te zabytkowe obiekty do potrzeb życia współczesnego. Psychologowie i socjologowie po dwudziestoletnim już doświadczeniu stwierdzają dość jednomyślnie, że stawianie czoła trudnościom i dawanie sobie rady w początkowo prymitywnych warunkach scala rodzinę, daje im bezpośrednie zadowolenie i zaufanie we własne siły. Ważnym czynnikiem jest tu też satysfakcja płynąca z ratowania cennych świadectw kultury narodowej, przeciwstawiania się szarości i jednolitości współczesnej cywilizacji miejskiej.

Nie obyło się, rzecz oczywista, bez pewnych strat. Pomysłowość w adaptowaniu starych obiektów bez odpowiedniego znanstwa historii sztuki wyszła tu i ówdzie zabytkom na niekorzyść. Nie wszędzie służba konserwatorska zdążyła przyjść z odpowiednią radą. Straty te wynagrodzone zostały z pewnością w tych częstych wypadkach, gdy obiekt „obrońnięty” wieloma niefortunnymi przybudówkami, przywrócono do pierwotnego, czystego kształtu. W sumie więc zjawisko uznano za bardzo pozytywne.



Cały ruch, choć w tym momencie żywiołowy i trudny do sterowania w szczegółach, mieści się w planach Ministerstwa Kultury, które dyskretnie mu patronuje, popierając szereg wydawnictw popularyzujących ideę prywatnego mecenatu.

Architekci, dekoratorzy, architekci wnętrz, historycy sztuki i konserwatorzy zabytków zabierają w tych sprawach głos na łamach co poczytniejszych pism. Do współpracy zaproszony został aparat podatkowy w tym sensie, że osoby przyjmujące pod opiekę obiekt zabytkowy jako

drugą rezydencję, zwolnione są od tych opłat „za luksus”, jakie muszą płacić obywatele budujący siedziby letnie w nowym stylu, od zera.

Pozornie snobistyczna i nowoboga dążność francuskich mieszkańców miast do posiadania drugiej, sezonowej siedziby na wsi, ma więc swój wymiar pozytywny o ogromnym znaczeniu dla kultury narodowej.

Wydaje się, że dla Polaków, zwłaszcza dla mieszkańców Lubelszczyzny, tego prawdziwego zagłębia zabytków, mogą płynąć pewne wnioski z wyżej przytoczonych faktów. I u nas niszczeje wiele obiektów zabytkowych. Stare karczmy, kuźnie, młyny, śpiżnice, dworki, domy wiejskie, wiatraki — wszystkie te budowle świadczące o dawnej naszej kulturze, z tak wielką swadą i znanstwem prezentowane przez zagorzałego hrubieszowianina, prof. dr. Wiktora Złna, warte są tego, aby się nimi zająć, zanim będnie za późno. Podobnie szybkiej interwencji i podejścia z indywidualnym pietysmem wymaga stan parków i zabytków przyrody. Mecenat państwowy i społeczny (związki zawodowe, większe zakłady pracy) robią rzeczywiście wiele aby powstrzymać proces niszczenia. Są jednakże obiekty małe, nie nadające się do zagospodarowania dla celów rekreacji zbiorowej, turystyki masowej, czy innych imprez o charakterze ogólnym. Na rzecz tych właśnie zabytków warto chyba uważyć opinię środowisk, które przy odpowiednim klimacie stworzonym przez władze terenowe mogłyby zaangażować swoje środki i energię dla ochrony wartości niewymiernych.

Zapobiegliwość i dalekowzroczność Francuzów, ich zmysł praktyczny w rozwiązywaniu trudnego problemu ochrony zabytków, mogłyby tu z powodzeniem być dla nas wzorem. Formy działania, zgodne z naszymi zasadami ustrojowymi, a podporządkowane dobru naszej kultury, musiałby być, możliwe w szybkim tempie, wypracowane przez prawników (sprawy podatkowe), administratorów (sprawy zagospodarowania terenu) i oczywiście przez historyków sztuki (fachowe poradnictwo konserwatorskie).

gdy dotąd estymą traktuje materialny przedmiot. Na tych zaś terenach trudno obejść się bez malarzy, grafików, rzeźbiarzy czy specjalistów wzornictwa przemysłowego. Pamiętajmy ponadto o romantycznej i młodopolskiej tradycji, która w świadomości niektórych warstw narodu jawi się mgliście pod postaciami artysty-wyraziciela zbiorowych pragnień i niepokojów, czy artysty-symbolu wewnętrznej niezależności.

Wspominam o tej kwestii mimochodem, jako że mity owe i resentymenty blado dziś wyglądają, mocno pokiereszowane przez rzeczywistość, która sprawy tego świata stara się ujmować w kategoriach chłodnego racjonalizmu. Ostatnie lata dowodzą jednak, że sami artyści znów zapragnęli bezpośredniego udziału w kształtowaniu ludzkiej świadomości, że abstrakcyjno-formalne „dealy sprzed lat piętnastu odłożyli do „etapowego lamusa”, zastępując je wartościami ontologicznie zasadniczymi, podnoszonymi niezmiernie w formie wręcz publicystycznej. Przykłady takiej postawy łatwo odnaleźć w twórczości różnych pokoleń, przede wszystkim jednak wśród artystów młodszych i najmłodszych, a fakt ten stanowi o specyfice sztuki powstającej w latach siedemdziesiątych. Jest to sztuka agresywna w kształcie, na pewno zaś wyzwolająca refleksję humanistyczną, w swym głównym nurcie bez żenady zaglądnąca za kulisy codzienności, czy do człowieczego wnętrza, nie unikająca także politycznej dyskusji. Oczywiście, sporo w tym skomplikowanym ruchu zjawisk pozornych, koniunkturalnych, pozabawionych autentycznych motywacji, „onuckowatych”, lecz przecież w całej tej gmatwaninie rysuje się ślad sztuki uczciwej i w społecznym rozrachunku ważnej — co by się powiedziało na temat tzw. popularności plastyki w szerokich kręgach publiczności.

Znamienne: pewne elementy owej ruchliwości artystycznej i społecznej środowiska plastycznego zarysowały się wcale ostro już w roku 1944, zaraz po ogłoszeniu Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Można z nieufnością zapytać, czy te dwa odległe od siebie dystanse trzydziestu lat okresy są w ogóle porównywalne, czy zabieg ten nie wynika z taniutkiego pragnienia wymalowania efektownej „kompozycji historycznej z wydziwieniem”. No bo dzisiaj: osiem tysięcy plastyków, Biura Wystaw Artystycznych w każdym mieście wojewódzkim plus liczne ich delegatury w mniejszych ośrodkach, kilka galerii sztuki, mnożące się plenery malarzkie i rzeźbiarskie, wystawy ogólnopolskie i międzynarodowe, stypendia zagraniczne dla artystów, sympozja... Wtedy zaś? Nic z tych rzeczy, jak to się mówi, wręcz przeciwnie, czyli słonina na wagę złota, farby jeszcze droższe i nieobecne, papier sprowadzany samolotem z Moskwy (przede wszystkim dla potrzeb prasy), uzyskanie zaś wytartego płaszcza — kwestią wagi ministerialnej.

W 1944 roku w Lublinie ujawniło się jednak coś, czego nie można zmierzyć przy pomocy metrów, kilogramów, złotych i co tam jeszcze podchodził z symbolem matematycznym na etykiecie. Spontanizmie ujawniło się bowiem poczucie odpowiedzialności artystów za kształt odbudowy i przyszłości kultury polskiej, wsparte entuzjazmem pierwszych dni wolności, co jeszcze raz potwierdziło patriotyzm i wysokie morale inteligencji polskiej. Niech jednak przemówią fakty.

Pierwszym stowarzyszeniem twórczym, jakie powstało na skrawku wyzwolonej Polski, 2 sierpnia 1944 r., był lubelski Związek Artystów Plastyków; jego prezesem wybrano Mariana Tomaszewskiego, który nauczał w Wołnej Szkole Malarstwa i Rysunku Janiny Milosiowej. W tym czasie miasto miało charakter wojskowo-artystyczny, a linia między tymi formacjami ulegała często zatarciu, albowiem mundury okrywały wielu malarzy, grafików, scenografów, którzy w szeregach armii polskiej ścignęli nad

Bystrycę, Zresztą i zastępca kierownika Resortu Kultury PKWN, a zarazem szef referatu plastyki, Aleksander Rafałowski, nosił oficerskie dystynkcje. Były członek międzywojennych ugrupowań awangardowych „Blok” i „Praesens” tak oto wspominał po latach swój okres lubelski:

„Fikcją jest określenie stanowisko, fikcją jest również oprawa prawna. Jest się zmuszonym być posłańcem i wykonawcą własnych zarządzeń i pomysłów. Brak ludzi. O pracy decydują trzy zasadnicze elementy: zdolność abstrakcyjnego myślenia, fantazja i entuzjazm. One pozwalają przezwyciężyć wszelkie trudności natury organizacyjnej i politycznej”.

Resort otaczał artystów wyjątkową, jak na owe czasy, opieką, przydzielając kwatery, bony stołowe, odzież. Specjalne ekipy penetrowały wyzwolone tereny w poszukiwaniu ludzi sztuki, docierając aż w okolice Warszawy, skąd pewnego dnia przywieziono samochodem kilku malarzy. „Podstępnie” zarejestrowano związek plastyków jako zawodowy, co przyniosło nieoczekiwane dobre następstwa — gastronomiczne i lokalowe. Jesienią otwarto w pobliskim Łańcuchowie Dom Plastyków, w którym mądrze rządziła Józefa Wnukowa, do dziś z ogromnym sentymentem wspomniana przez lublinian. Budynek (projektu Stanisława Witkiewicza) dawał wikt, opiekę i dach nad głową liczny i bezdomnym artystom, zapewniając zarazem znośne warunki pracy twórczej. Jego pensjonariusze czuli się znacznie lepiej, niż mieszkańcy pobliskiego domu literatów w Cieszanach, nachodzeni nocą przez kawalerkę z kłonicami.

Już w październiku otwarto pierwszą w wyzwolonej Polsce „Wystawę Prac Malarskich i Rysunków”, w której wzięło udział 24 plastyków. Przygotowywano się do tego wydarzenia kilka tygodni. *Chcieliśmy bowiem wystąpić godnie, w godnym miejscu, z plakatem wystawy i katalogiem. Chcieliśmy też tego, by ten pierwszy pokaz aktywności polskiego artysty, mimo wszystko posiadał niewątpliwie cechy artystycznego przedsięwzięcia. Chcieliśmy też, by coraz liczniej przybywający do Lublina artyści znaleźli chwilę czasu na stworzenie czegoś, co zakwalifikowałoby ich do uczestnictwa w imprezie* — pisał Ignacy Witz dwadzieścia lat później. Eks-

albowiem w jego obszernej sali, przyozdobionej rysunkami Jerzego Zaruby i stronicami satyrycznego tygodnika „Stańczyk”, redagowanego przez Leona Pasternaka, dyskutowano żarliwie nad przyszłym kształtem sztuki polskiej i programem organizacji związkowej. Większość rozważanych problemów miała rychło trafić na forum Ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów ZPAP w Krakowie (sierpień 1945 r.), zaprezentowana tam przez artystów „lubelskich”. I tak Juliusz Krajewski mówił o „Roli społecznej sztuki”, a Stanisław Teisseyre referował projekt „Organizacji życia artystycznego w Polsce”. Z ramienia Resortu Kultury i Sztuki przemawiał Aleksander Rafałowski, „Ramowy program szkolnictwa artystycznego plastyki w Polsce” przedstawił Kazimierz Tomorowicz, roduwity zamościanin. Ideowe założenia oraz struktura organizacyjna Związku Polskich Artystów Plastyków zostały sprecyzowane pod wyraźnym wpływem „grupy lubelskiej”, przez cały niemal okres trzydziestolecia nie tracąc swojej



Tadeusz Brzozowski

ODRODZIŁA SIĘ W LUBLINIE

aktualnej ważności. Okresowe odcieścia od tego światłego, liczącego się z interesami kultury narodowej programu ujawniały bezpoziębność, czy wręcz szkodliwość tych manewrów.

Stołeczny Lublin 1944 roku był zatem nie tylko krzepiącą przystanią losową plastyków, lecz również i przede wszystkim miejscem inicjacji nowego życia sztuki, nowego pojmowania roli artysty, którego służebność społeczna wykluczała element taniej

spod szyldu domorosłego realizmu i koloryzmu. Wszyscy artyści jednali się przecież na płaszczyźnie narodowej.

Pierwszym i jedynym bodaj dokumentem opisującym stan ówczesnej świadomości artystycznej jest wstęp do katalogu kolejnej wystawy, którą pod nazwą „Polonia” otwarto w grudniu w salach KUL-u. Czytamy tam znamienne zdania:

Nie tylko żywa anegdota jest głównym przedmiotem tych prac, lecz przede wszystkim forma plastyczna. Trzeba podkreślić tę cechę większości szkiców wojennych, gdyż łatwo ulec wrażeniu, iż przeważa tu treść literacka, która w gruncie rzeczy była tylko inspiratorką wszystkich wystawionych obecnie utworów...

W dalszym ciągu tego unikalnego dziś wydawnictwa natrafiamy na problematykę szczególnie mocno poruszającą umysły plastyków w 1944 r.:

Czynnikiem o szczególnie ważnym znaczeniu w organizacji dzisiejszego Związku Polskich Artystów Plastyków jest szeroka opieka państwa nad sztuką. Dzięki tej opiece artyści odczuwają po raz pierwszy w Polsce, iż kwestia ich egzystencji i twórczości leży w interesach ogólnopństwowych.

Kilka miesięcy później ta fundamentalna sprawa stanie się leitmotivem krakowskiego zjazdu ZPAP, na równi z zagadnieniami przebudowy społeczno-gospodarczej kraju i implikacjami demokratycznego funkcjonowania sztuki: *Zjazd dał pełny wyraz zadowoleniu ze zrealizowania przez Rząd Jedności Narodowej hasła, o które Związek walczył przed wojną, a mianowicie: opieki Państwa nad sztuką i artystą i utworzenia Ministerstwa Kultury i Sztuki. Resort pomagał plastynom, finansowo i moralnie, niemniej sytuacja bytowa środowiska daleka była od normalizacji. Zniknął mecenat prywatny, brakowało materiałów malarskich, nie mówiąc już o pracowniach plastycznych. Znalazło to wyraz w proporcjach tematycznych wygłoszonych referatów: trzy z ogólnej liczby pięciu poświęcono materialnym warunkom uprawiania twórczości. Pod tym też kątem sformułowano większość wniosków zjazdowych, które mówiły m. in. o konieczności utworzenia funduszu zakupów prac plastycznych, ustanowienia szeregu dorocznich nagród ogólnopolskich, zakładały celowość wyposażenia lokali*



Władysław Hasior

Fot. CAF

pozycję otwarto w salach Muzeum Lubelskiego, którym kierował Wiktor Ziółkowski, wierny sojusznik wszelkich... poczynań artystycznych. W uroczystości otwarcia uczestniczył rząd oraz przedstawiciele związków zawodowych i wielu instytucji. Wszystkie obrazy z tej wystawy — jak zanotował Al. Rafałowski — zostały sprzedane. *Potężny był to zastrzyk dla malarzkiej braci.*

Życie towarzyskie koncentrowało się w kawiarni „Pod Paletą” przy Krakowskim Przedmieściu 62, gdzie obecnie mieści się księgarnia „Do mu Książki” — niestety, pozbawiona jakiegokolwiek znaku po historycznym, było nie było, przybytku. Wart jest on pamięci szczególnej,

kokileterii, powierzchownej dydaktyki i deklaracyjnego zaangażowania się „po stronie demokracji”. Punktem wyjścia wszelkich rozważań ideowych i przymiarek organizacyjnych były realia polityczne, ze szczególnie żywym i przychylnym rezonansem spotkało się hasło demokratycznego dostępu do sztuki oraz zapowiedź — częściowo zresztą już realizowana — opieki państwa nad twórczością. Nigdy jednak w tym pierwszym okresie nie podważano prawa artysty do samodzielnego czy subiektywnego widzenia świata, aczkolwiek uproszczone, aż do abstrakcyjnego znaku, malarstwo M. Tomaszewskiego wywołało zaciekle ataki pewnej grupy malarzy

biarzy z architektami, problem do dziś aktualny i w praktyce nie rozwiązany.

Perspektywiczne myślenie uczestników zjazdu, któremu przewodniczył Czesław Rzepiński, wydało też interesujący wniosek powołania „urzędu kontroli” poziomu artystycznego produkcji przemysłowej, złożonego z plastyków. Bez fałszywego wapna, jak widać, można ulepić pomost ideowy między połową lat czterdziestych i siedemdziesiątych. Między stronice naiwności trzeba natomiast włożyć sformułowane na piśmie nadzieje, że za wyroby rzemiosła artystycznego i plastyki użytkowej, po odpowiednim rozwinięciu tych dyscyplin, będzie można otrzymać z... Ameryki maszyny precyzyjne, środki lokomocji, surowce i lekarstwa. Różne też efekty przyniosło ustanowienie zasady przyjmowania do ZPAP każdego absolwenta uczelni artystycznej, jak i osób bez studiów, zakwalifikowanych przez odpowiednią komisję. Czy jednak wówczas, kiedy uświadomiano sobie przerażające rozmiary strat wojennych poniesionych przez środowisko, czy więc wtedy zasada ta nie była słuszną?

W Lublinie 1944 roku rozpoczęto szkicowanie drogi rozwojowej plastyki polskiej. Tu także, jesienią, powołano tymczasowy Zarząd Główny ZPAP, prezesem obierając Stanisława Teisseyre, wiceprezesem — Juliusza Krajewskiego, sekretarzem — Władysława Filipiaka, skarbnikiem — Mariana Tomaszewskiego, członkami — Aleksandra Rafałowskiego, Henryka Tomaszewskiego i Wiktora Ziółkowskiego. Wkrótce po opuszczeniu miasta przez władze centralne (w styczniu 1945 r.), w miarę wyzwania pozostałej części kraju plastycy „lubelscy” wyjeżdżają na południe, północ, na zachód, przyczyniając się do odrodzenia życia artystycznego w niejednym regionie. Bezpośrednim impulsem do założenia Związku Krakowskiego w nowych warunkach, po wypędzeniu okupantów, był przyjazd delegatów Tymczasowego Zarządu Głównego Związku z Lublina, kolegów Stanisława Teisseyre'a i Jerzego Wolffa — odnotował w 1945 r. Jan Mroziński. Organizacja krakowska liczyła wówczas 318 członków, dysponując m. in. ośrodkiem pracy twórczej w pobliskich Luczanowicach.

Samorzutnie formują się związki plastyków w Białymstoku, Kielcach

NA Lubelszczyźnie znajduje się około 100 miejscowości, które w przeszłości posiadały prawa miejskie. Spośród tych, które przetrwały do dziś, 26 zawiera zabytkowe układy urbanistyczne podlegające ochronie i wpisane do rejestru. Jednakże zespoły staromiejskie w Chełmie, Lublinie, Zamościu i Kazimierzu Dolnym wyróżniają się swymi walorami histo-

rycznymi. Czynnikami, warunkującymi ochronę substancji zabytkowej o niepowtarzalnych walorach, są: poprawnie opracowane aktualne plany zagospodarowywania przestrzennego, środki materiałowe i finansowe oraz zabezpieczenie odpowiedniej jakości mocy przerobowej w wyspecjalizowanych biurach projektowych i przedsiębiorstwach wykonawczych.

Rewaloryzacja miast zabytkowych

Stanisław Winnicki

ryczno-przestrzennymi i architektonicznymi. Czynnikami, warunkującymi ochronę substancji zabytkowej o niepowtarzalnych walorach, są: poprawnie opracowane aktualne plany zagospodarowywania przestrzennego, środki materiałowe i finansowe oraz zabezpieczenie odpowiedniej jakości mocy przerobowej w wyspecjalizowanych biurach projektowych i przedsiębiorstwach wykonawczych.

Zespół staromiejski w Chełmie posiada wartości zabytkowo-przestrzenne ze względu na zachowany średniowieczny układ urbanistyczny i szczególne walory panoramy miasta. Zabytkowe obiekty są tu rozproszone i sprowadzają się w zasadzie do czterech zespołów kościelno — klasztornych. Chełm posiada opracowany w 1966 roku ogólny plan zagospodarowania przestrzennego oraz studium historyczno-urbanistyczne z 1954 r. Wymienione opracowania ze względu na ich niedoskonałość nie mogą jednak stanowić materiału wyjściowego do sporządzenia planu szczegółowego. Stąd też jego opracowanie, jak również poszerzonego studium historycznego, nie wyszło poza fazę wstępną.

Zapotrzebowanie na środki finansowe określone zostało przewidywaniem na lata 1974—1980 kwotą 174 mln zł.

Kazimierz Dolny stanowi unikalny zespół urbanistyczno-krajobrazowy i przyrodniczy, zakwalifikowany jako zabytek klasy „O”. Funkcją wiodącą Kazimierza jest turystyka o znaczeniu krajowym i ponadkrajowym. Ponadto miasto spełnia funkcje usługowe dla ludności gminy, której jest siedzibą. Około 30 proc. budynków wymaga remontu kapitalnego. Tylko w 6 proc. budynków istnieją instalacje kanalizacyjne i wodociągowe. Wprawdzie plan urbanistyczny ogólny i szczegółowy został opracowany w 1970 r., a studium historyczno-urbanistyczne w 1965 r., jednakże w wyniku ustaleń Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki — Prezydium WRN plan szczegółowy uleważniło, a nowy jest dopiero opracowywany w lubelskiej Pracowni Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków. Wydaje się, że i studium historyczno-urbanistyczne powinno ulec rewizji.

Orientacyjnie nakłady na renowację Kazimierza w latach 1974—1980 określono kwotą 130 mln zł.

Wybitne wartości zabytkowe zespołu staromiejskiego w Lublinie polegają na zachowanym w stanie pierwotnym średniowiecznym układzie urbanistycznym, wypełnionym w 70 proc. zabudową zabytkową. Zespół ten przejmując część funkcji centrum miasta w zakresie usług turystycznych, kulturalnych oraz unikalnych handlowych. Ocenia się, że 54 proc. całej zabudowy Starego Miasta wymaga remontu kapitalnego przed 1980 rokiem. Miasto posiada plan ogólny, wykonany w 1969 r., oraz plan szczegółowy, opracowany w 1972 r. Ze względu jednak na to, że do planu ogólnego nie opracowano żadnego studium historycznego, przystąpiono do jego aktualizacji w oparciu o studium historyczno-urbanistyczne z 1969 r. Orientacyjne nakłady finansowe na renowację w latach 1974—1980 określone są na 256 mln zł. Ze względu na opóźnienie w przygotowaniu dokumentacji realizacyjnej, przystąpienie do kompleksowych prac renowacyjnych na Starym Mieście w Lublinie możliwe będzie dopiero po 1978 r.

Zespół staromiejski w Zamościu, stanowiący perłę polskiej architektury renesansowej, jest jednym z najwybitniejszych dzieł polskiej myśli urbanistycznej. Występująca na

proc. budynków jeszcze przed 1980 rokiem. Tymczasem według wstępnie dokonanych szacunków okres renowacji zabytkowych zespołów miejskich w Chełmie, Kazimierzu i w Zamościu zakładany jest na co najmniej lat 15.

Warto podkreślić, że na renowację zabytkowych zespołów miejskich w województwie lubelskim przeznaczają się aktualnie około 25 proc. wszystkich nakładów finansowych, przewidzianych na remonty kapitalne budynków mieszkalnych.

Renowacja zespołów zabytkowych prowadzona jest głównie przez służby miejskich zarządów budynków mieszkalnych, które tak pod względem kadrowym jak i organizacyjnym nie były przygotowane do specyfiki tych robót. Brak jest też wyodrębnionej formy planowania i sprawozdawczości, odpowiadających potrzebom związanym z renowacją zespołów zabytkowych. Projektowanie, planowanie, organizacja służby inwestorskiej i wykonawstwa, nadzór, rozliczanie i analizy efektów — wszystko to prowadzone jest według ogólnie obowiązujących przepisów remontowych. Stan ten utrudnia, a czasem wręcz uniemożliwia prowadzenie prawidłowego procesu renowacji, zniekształca obraz ponoszonych kosztów i uzyskiwanych efektów.

Analiza sytuacji w zakresie renowacji i rewitalizacji zabytkowych zespołów miejskich Lubelszczyzny prowadzi do następujących wniosków:

1) Studia historyczno-urbanistyczne dla miast będących zespołami zabytkowymi, lub zawierającymi zespoły zabytkowe, winny być opracowywane w pełnym powiązaniu z planami ogólnymi, jak i planami szczegółowymi, z możliwością ich rozwijania w trakcie wykonywania dalszych prac planistycznych i realizacyjnych. Podstawową zasadą winno być opracowywanie dla tego rodzaju miast ogólnych i szczegółowych wniosków konserwatorskich, obejmujących wyniki studiów historycznych, rewitalizacji krajobrazowych i innych. Wnioski takie zabezpieczą właściwy tok opracowania całej dokumentacji oraz zapobiegą nieprzeżyłemu i przedwczesnej działalności inwestycyjnej. Powinno się ustalić jak najwcześniej, które miasta należy zaliczyć do omawianej grupy i opracować dla nich pełną dokumentację historyczną. Praktyka lubelska wykazała, że jeżeli nie stosuje się takiego postępowania, to konieczne jest kilkakrotne opracowywanie tego samego typu dokumentacji dla tego samego miasta (Zamość, Chełm, Kazimierz), co oznacza zwykle marnotrawstwo sił i środków społecznych.

2) Studia historyczno-urbanistyczne powinny być kontynuowane w czasie prac nad projektem urbanistycznym, gdyż w czasie opracowywania planu często wylaniają się problemy, których nie da się przewidzieć w problematyce studium.

3) Z wieloletniej praktyki wynika, że najważniejszym sposobem opracowywania planów jest jednoczesne projektowanie planu ogólnego i szczegółowego. Pozwala to na wyłączenie najważniejszych wniosków przede wszystkim w stosunku do rozmieszczenia programu usług w skali całego miasta, a jednocześnie nie wprowadza obcych elementów, sprzecznych z charakterem zabudowy zabytkowej. Ograniczamy więc stosowanie w przyszłości metody prób (i błędów), gdyż „placik za nie musi całe społeczeństwo.



Władysław Filipiak

Fot. A. Polakowski

irzeszowie. W czerwcu organizują się artyści poznańscy, prezesem wybierając Jana Wronieckiego, a jego zastępcą — Waclawa Taranczewskiego. Jeszcze wcześniej, bo 1 lutego, powstaje w Milanówku warszawski ZPAP, kierowany przez Jana Cybisa. Na terenie Pomorza zarejestrowano 93 plastyków; większość z nich to byli członkowie Związku Plastyków Pomorskich, Konfraterni artystów w Toruniu, Związku Plastyków Kujawskich oraz repatrianci z Wilna. Energicznie zabiera się do dzieła środowisko śląskie.

Mnożą się wystawy; niektóre noszą „lubelską”, czy raczej Grottgerowską nazwę „Polonia” (Kraków). Łódzka ekspozycja w Miejskiej Galerii Sztuk Plastycznych gromadzi prace 64 artystów; mówi się, że w mieście powstanie Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, w której wykladać będzie Władysław Strzemiński. Powstaje Instytut Sztuk Plastycznych w Sopocie. Związek uzyskuje domy wypoczynkowe na terenie Dolnego Śląska i w Zakopanem (willa „Gong”).

Jesienią 1945 roku odbywa się w Krakowie pierwsza po wojnie Ogólnopolska Wystawa Malarstwa i Rzeźby, gromadząca w Pałacu Sztuki kilkaset prac ze wszystkich bodaj regionów kraju. W malarstwie prym wiodą koloryści. W życiu związkowym także.

Ireneusz J. Kamiński

acji społeczno-
ela sztuki, pod-
ntkowania kos-
ających budowli
styczne budyn-
o „zapewnienia
bezpieczenia na
na starość”. Da-
biegwały niektó-

sztuki, zdaniem
żyły stałe i oka-
raz galerie pla-
zlokalizowane
kszych miastach.
ną potrzebę uru-
ió i wycieczek
artystów, wyda-
słowiańskiej, a
„Głosu Plasty-
sięcznik ten —
reaktywowano
ku pod redakcją
dział krótko, zdą-
postawić w polu
twórczych ważny
malarzy i rzeź-



Henryk Stażewski

Fot. CAF

TEGO roku Teatr im. J. Osterwy uczynił Międzynarodowy Dzień Teatru, obchodzony 27 marca, centrum trójkąta nierównoramiennego, na którego wierzchołek wzniosła się prezentacja, w dniu 26.III, arcyaktualnej sztuki Ignatija Dworickiego „Człowiek znikąd”, u podstawy zaś znalazły się spektakle: „Szczęśliwego wydarzenia” Mroźka (premiera 20.III) oraz „Dwóch teatrów” Szaniawskiego (pierwszy publiczny pokaz w Lublinie — 31. III).

„Człowieka znikąd” szeroko spopularyzował w Polsce wybitny sukces sztuki w warszawskim Teatrze Dramatycznym, gdzie przeszło rok temu odbyła się jej prapremiera w inscenizacji Ludwika René, z Gustawem Holoubkiem — odtwórcą postaci inżyniera Czeszkowa, człowieka o nowym stylu pracy. Sukces ów został jeszcze wzmocniony triumfem na katowickim Festiwalu Dramaturgii Radzieckiej w listopadzie ub. r., kiedy to spektakl warszawski wysunął się na czołowe miejsce, przy czym zadziałało nie tylko znakomite wykonanie, ale ostrość problemu poruszonego przez Dworickiego. Dobrze się więc stało, że kierownictwo Teatru im. J. Osterwy podkreśliło znaczenie tej pozycji swego repertuaru realizując ją w aurze międzynarodowego święta teatralnego.

Każdemu recenzentowi polskiemu omawiającemu „Człowieka znikąd” wraca mimo woli na pamięć sztuka Marka Domańskiego „Ktoś nowy”, która przed dziesięciu laty była jednym z bestsellerów naszych scen, wzbudzającym zażarte spory (m. in. i w Lublinie). Przypomnienie to nie przynosi ujemnej reputacji pisarskiej Ignatija Dworickiego, albowiem konflikty, które sam proces produkcyjny rodzi, rodzi i będzie rodzić na terenie zakładu pracy, są jako temat z punktu widzenia prawa autorskiego — res nullius. Wolno pisarzom odważnie brać je na warsztat, trzeba nawet, by je brali — najodważniej. Kwestia praw autorskich występuje, rzecz jasna, dopiero z chwilą zastosowania własnego sposobu „obróbki” tematu.

Krótko mówiąc, zestawienie dwóch wymienionych sztuk wydaje mi się o tyle wskazane, że uwydatnia pewne korzystne zmiany zachodzące z biegiem czasu w otaczającej nas rzeczywistości społecznej. Perypetie „Człowieka znikąd” powstają na etapie późniejszym od tego, na którym toczy się akcja komedii „Ktoś nowy”. Otóż podczas gdy u Domańskiego działalność „bohatera” wchodzi w kolizję z kombinacjami zdecydowanej klikki, rozzuchwalonej w nieróbstwie i kumoterstwie, racjonalizatorskie poczynania Czeszkowa napotykać początkowo inercję, potem coraz silniejszy opór, ludzi w gruncie rzeczy uczciwych, lecz będących jakimś wypaczonym „kolektywem”, który nieświadomie hamuje postęp produkcji sprzeciwiając się racjonalnej rotacji kadr i innym reformom — z szacunku dla zasług wojennych i z przywiązania do źle pojętej tradycji. Ludzie Dworickiego kochają swoją pracę, u Domańskiego lubił ją jeszcze tylko ten „nowy” — wicedyrektor Kukula. Tak, dwa różne etapy, czas przynosi przemiany w psychice obywatela. Trudno mi powiedzieć, czy „optymizm psychologiczny” Dworickiego ma stuprocentowe pokrycie na obserwowanym przez pisarza radzieckiego odcinku rzeczywistości społecznej, wydaje się jednak, iż skrajnym pesymizmem musiałby być ten, co nie dostrzegalby dzisiaj i u nas postaw obywatelskich znacznie lepszych w porównaniu do stanu sprzed zaledwie paru lat, kiedy pisałam z goryczą: *Naprawdę nie wiem już, jakich słów trzeba byłoby użyć, by stało się rzeczą powszechnie popularną przekonanie, że praca nade wszystko stanowi o godności kondycji ludzkiej.* („Kamena”, 20 grudnia 1970 r.).

Jakże słuszne jest zdanie z listu Ignatija Dworickiego do Teatru Dramatycznego: *Połowę swego życia spędza człowiek współczesny w pracy: w hali produkcyjnej, w laboratorium, przy biurku. Niekiedy ta właśnie część bywa znacznie bardziej dramatyczna od tego, co nazywamy życiem prywatnym.*

Bojowymi hasłami Czeszkowa są: racjonalizacja procesu produkcyjnego, kom-



Sławomir Mroźek — „Szczęśliwe wydarzenie”
Paweł Nowisz (Przybysz) i Jerzy Szozda (Niemowię).
Fot. CAŻ

LUBELSKI „TRÓJDZIEŃ” TEATRU

Maria Bechezyc-Rudnicka

petentne kadry, precyzyjna informacja, ścisłe przestrzeganie harmonogramu. Całe dzieło się „Człowieka znikąd” jest skupione wokół tych problemów i one to, a nie uboczny wątek przygody sercowej młodego inżyniera, trzymają w napięciu uwagę widzów. Powstaje bowiem pytanie: czy Czeszkow nie łamie nakazów humanitaryzmu?

Podchodząc do „Człowieka znikąd” od strony formalnej, można powiedzieć, że sztuka natrafiła na piaszczystą podłogę odbiorcy: na zainteresowanie się widza udratyzowanymi dyskusjami, na zobojętnienie krytyki dla fabuły, dla akcji, na niechęć do psychologizmu.

Sam autor tak charakteryzuje swój utwór: *Jest to sztuka kameralna. Nie należy budować fabryk na scenie. Najlepiej grać ją w umiarkowanych, ruchomych dekoracjach z minimalną ilością sprzętów. Ważny jest nieprzerwany tok akcji. Należy zrezygnować ze scen masowych... Stół, mikrofon, ściana o odpowiedniej fakturze albo umowna zastawka, Głos Managarowa, Czeszkowa i innych może rozlegać się z głośnika. Zresztą ostateczne rozwiązanie proponuje reżyser.*

Rozwiązanie, jakie zaproponował reżyser Teatru Osterwy, dyr. Kazimierz Braun, poszło zdecydowanie po linii intencji autora tej współczesnej w treści i nowoczesnej w formie sztuki, rozwijając wizję formalną zawartą w didaskaliach. Ascetyzm scenografii został doprowadzony do całkowitego zlikwidowania dekoracji. Entuzjazm Kazimierza Brauna dla „Teatru wspólnoty” znalazł tu odpowiednie zastosowanie niż przy realizacji „Starej kobiety...” Różewicza. „Człowiek znikąd” jest pomysłem jako wielki wstęp do gorącej dyskusji, niewątpliwie podsyca jej „ogień” umieszczenie aktorów, niejako zagajających debatę teatralną, w bezpośrednim otoczeniu widzów. Zgodnie z założeniami koncepcji reżysera czas sceniczny stał się czasem bieżącym, co też przybliżyła sprawę Czeszkowa do widza. Kursowanie Czeszkowa między Tichwinem a Nereżem zamarkowane jest odgłosem samolotu.

Grają w sztuce Dworickiego: Andrzej Wiśniewski, Wanda Wieszczycyca, Karol Siedlecki, Ryszard Kolaszyński, Włodzisław Wiszniewski, Zbigniew Szejman, Henryk Sobiechart, Edwin Petrykat, Witold Lisowski, Piotr Suchora, Mieczysław Ostroń, Urszula Rydzewska, Tadeusz Kuduk, Sylwester Woronicki, Nina Czerska, Elżbieta Święcicka, Jadwiga Janczewska, Anna Baranowska, Wszyscy bez wyjątku weszli się w sytuację utworzoną przez autora, toteż spory toczą się żywo, zarażając słuchających swą żarliwością. Hzetelna praca aktorska (nawet drobny epizodyk Tatiany zasługuje na brawko, Anna Baranowska to dobry nabitek).

Specjalnie zainteresowanie budzi naturalnie wykonawca roli Czeszkowa — Andrzej Wiśniewski. W inscenizacji warszawskiej grał tę rolę Gustaw Holoubek. Porównywanie osiągnięcia młodego aktora z kreacją Holoubka byłoby oczywiście niestosownością, chodzi mi o inną rzecz. Zapytuję siebie: co, poza sprawą zasadniczą, może prawdopodobnie wzmagać opory „kolektywu” nerezkiego — zimna stanowczość i opanowanie racjonalizatora w wieku średnim czy „popędliwość” prawie młodocianego „rewolucjonisty”, „smarkacza” w opinii otoczenia? Nie umiem sama na to odpowiedzieć. W każdym bądź razie Andrzej Wiśniewski broni zasad Czeszkowa z zapalem udzielającym się publiczności.

Premiera kroniki współczesnej Dworickiego w FSC zapoczątkowała jej pochod po Lubelszczyźnie. Doskonały był to pomysł. Powodzenie „Człowieka znikąd” w poszczególnych zakładach pracy zależy jednak w ogromnej mierze od samych widzów.

„Szczęśliwe wydarzenie” nie było wydarzeniem najszcześniejszym w twórczości Sławomira Mroźka, jest więc raczej za wznawianiem na scenach polskich wszystkich poprzednich sztuk znakomitego naszego dramaturga. Wymowa tej surrealistycznej komedio-farsy aż zaskakuje naiwnością swej historiozofii. Podobno Mroźek pisał rzecz pod wrażeniem rozruchów młodzie-

żowych r. 1968 we Francji (tak przynajmniej sugerują pewne recenzje) — jako przestrożę przed spłodzeniem Niemowięcia-Chama, wysadzającego w powietrze cały dom. „Przestroga” owa trafia w próżnię po prostu dlatego, że zawierająca ją metafora została wydumana w oderwaniu od życia toczącego się tam, gdzie rzekomo buszuje straszne Niemowię.

Cóż daje się powiedzieć na korzyść tej pozycji? Zaledwie to, że jest „kasowa”, bo niezależnie od irytującej werydyka mego pokroju trawestacji z taką bieda-metaforą, na widowni rozlegają się raz po raz salwy śmiechu, nikt się tam nie trudzi odczytywaniem symboli czy alegorii. Gorzej, że dowcip jest prawie wyłącznie sytuacyjny i w nienajlepszym guście. Zresztą nie chcę zniechęcać nikogo do przekonania się na własne oczy — i uszy, tym bardziej, że aktorzy Teatru im. Osterwy stanęli powyżej zadania.

Największe chyba powodzenie uzyskał Paweł Nowisz w roli poszukującego pokoju do wynajęcia Przybysza — anarchisty o wyjątkowo pogodnym usposobieniu. Scenę „szantażku” i pokera na łożu wspólnym z gospodarzami rozegrał kapitalnie, w „opiece” nad Niemowięciem doprowadził humor do kulminacji. Duża część widowni kotowała al parli sukces Jerzego Szozdy (Niemowię-potwór), oparty na zdolnościach imitacyjnych aktora, w pierwszej części aktu III. Stanisław Olejarnik obdarzył niezrównanym komizmem żałosną postać Meża, któremu egocentryk dziadek zabrania stosowania się do przykazań encykliki papieskiej „Crescite et Multiplicamini”; z kolei Stanisław Jaskółka, despota Starzec, operował pióropuszem i szablą z nadmetaforyczną zwałowścią. Jedynej w obsadzie kobiecie, Barbarze Kozłarskiej, dostała się rola bardziej pasywna, z którą utalentowana aktorka uporała się, jak to metaforycznie mawiają — „spiewajaco”.

Scenografia Teresy Targońskiej jest pełna pomysłowości w dekoracji i kostiumach. Już samo „zagrzenie” sceny skutecznie wywołuje śmiech.

„Szczęśliwe wydarzenie” wyreżyserował też Kazimierz Braun, kładąc słusznie nacisk na wesołość.

Pozostaje mi kronikarska wzmianka o spektaklu „Dwóch teatrów”. Na pewno nie było to w żadnym sensie wydarzenie. Pochwalić należy tylko samą myśl pokazania tej pozycji szerokim rzeszom widzów w terenie lubelskim. Wiadomo, jest to najlepsza, najaktualniejsza sztuka Szaniawskiego. Osobiście, uwielbiam jej klimat poetycki. Tym bardziej boli mnie, że nie otoczono jej staranną opieką artystyczną, przykro, że reżyser, Jerzy Jasielski nie zdołał uzyskać odpowiednich warunków scenograficznych i obsadowych.

Grają w „Dwóch teatrach”: Piotr Wysocki (Dyrektor teatru „Małe Zwierciadło”) Roman Kruczkowski (Dyrektor „Teatru Snów” i Autor), Maria Kaczkowska (Laura), Barbara Wronowska (Lizelotta), Stanisław Stojko (Woźny), Jacek Dżisiewicz (Chłopiec), Waldemar Starczyński (Montek i Kapitan), Maria Szczechówna (Matka), Zofia Stefańska (Pan), Witold Żarychta (Leśniczy), Elżbieta Skrętkowska (Zona), Ludwik Pańczyński (Andrzej), Zyta Polomska (Anna), Ryszard Pańczyński (Ojciec), Stefania Cybulska (Kobieta).

Nie podważając rangi tych artystów, pozwalam sobie kwestionować obsadzenie niektórych z nich właśnie w rolach im przydzielonych. Bogiem a prawdą, jedynie jednoaktówka „Powódź” była zagrana całkiem dobrze (w niej wielkie brawa należą się Polomskiej, Pańczyńskiemu i Pańczyńskiemu). Poza nią zobaczył widz interesujące podobizny postaci: Woźnego, Chłopca z deszczu, Montka, Dyrektora „Teatru Snów” tudzież Autora. I na tym koniec plusów. Scenografia (debiut chyba) Jerzego Michalaka, z wyjątkiem o-prawy „Powodzi” jest zupełnie pozbawiona znamion sztuki.

W sumie jednak wszystkie zespoły Teatru im. J. Osterwy niemal się natrudziły dla upowszechnienia kultury teatralnej w społeczeństwie lubelskim, bezspornie więc nagrody i wyrazy uznania, jakich im nie skąpiłono na obchodzie MDT, były całkowicie zasłużone.

POMYŁKA

Adam Grudziński

SZEDŁ ulicą jak zwykle mocno zamyślony ze wzrokiem wtopionym w płytki nierówno ułożonego chodnika. Lekko zgarbił się, włosy jego potargał mocny wiosenny wiatr, który był już ciepły, ale w podmuchach jego wyczuwało się jeszcze niedawne mrozy. Od samego rana wiało, stara sąsiadka mówiła gdy wychodził z domu:

— Panie Zdzisiu, a gdzie parasol?

— Po co parasol?

— Będzie padało, przekona się pan, ja mam nosa, proszę wierzyć, będzie lało. Ja to czuję — pokazała na wielki, rozplaszczony, czerwony nos.

Nie usłuchał jej, burknął tylko coś na odczepnego, nie miał ochoty wdawać się w dłuższą pogawędkę, zawsze denerwowało go jej wścibstwo.

„Co ją obchodzi gdy nawet zmoknę, nie jej sprawa, niech pilnuje garów w kuchni” — po-

myślał. Nagle jego wzrok spoczął na jakiejś osobie. Szedł szybko, więc widział plecy mijanych ludzi. Sylwetka wydawała mu się jakaś znajoma, serce w nim mocniej zabiło. Kolnierz wysoko postawiony osłaniał jej głowę przed ostrymi podmuchami, które niosły drobne okruchy piasku.

„Dozorcy fiejtuchy nie sprzątaj ulic” — pomyślał. Przyspieszył kroku, bo zdawało mu się, że odległość między nimi wcale się nie zmniejsza. Przywarł wzrokiem do jej wąskich, delikatnych ramion. „To chyba ona” — pomyślał — „co za szczęście”. Dość często myślał o niej, zwłaszcza gdy z Lilką całkiem się popsulo. Teraz wszystko powróciło z jeszcze większym napięciem. Zdawało mu się, że nigdy jej nie dogoni, bał się, że straci ją z oczu i wszystko się skończy.

Nie oglądała się, czego bardzo pragnął, dostrzegł, że niejeden mijany mężczyzna spogląda za nią, był zazdrosny.

Postanowił zakończyć tę niezamierzoną ucieczkę, bo na pewno nie zdawała sobie sprawy, że on za nią idzie, w innym wypadku zatrzymała by się, był tego pewien.

Na pewno chce tak jak i on by wszystko zacząć od początku. Pamiętał jej łzy, ale wtedy był bezліtosny, widział błaganie w oczach, ale udawał, że tego nie dostrzega, teraz on błaga, chociaż ona o tym nie wie, teraz ona mu jest potrzebna, nawet nie wie jak bardzo.

Odległość zmniejszała się, ale jeszcze dzieliło go parę kroków.

Potrącał mijających go przechodniów, nawet nie zwrócił uwagi na to, że przeszedł na drugą stronę chodnika i idzie pod prąd fali ludzkiej, nie był w stanie pomyśleć, że to utrudnia mu przypadkową pogoń. Obijanie się o przechodniów jeszcze bardziej dopingowało go do tego, by na przekór przeciwnościom dopiąć celu. Pamiętał jak wybiegała na jego spotkanie w rozpiętym płaszczku, wtulając głowę w jego ramiona, jeszcze szybko oddychała, on przytulał ją, gładził delikatnie dłonią po puszystych rozwichrzonych włosach jak małą dziewczynkę, którą wystraszył duży pies. Szli później szybko do domu, on z rękami skrzyżowanymi przed sobą, ona przytulona do jego ramienia.

Posiadała w sobie tyle młodzieńczości, że on, już starzejący się mężczyzna, stawał się przy niej jakby młodszy. Zaczął ubierać się coraz modnie, używał różnych kremów, brał masaże, które czyniły ciało bardziej sprawnym i teraz tę szansę miałby przepuścić? Zrezygnował już ze wszystkiego, unikał towarzystwa, zszedł jakby już na boczny tor odkład Lilka odeszła, znalazła młodszego. Świnia, a tyle jej... Znow zderzył się z kimś, tym razem mocno odskakując do tyłu.

— Coś pan, pijany!? — rzucił jakiś potężny jegomość, którego potrącił.

Wyminał go szybko i właśnie w tej chwili za-intrygowana tubalnym głosem osilka obejrzała się do tyłu. Znieruchomiał. To nie była ona.

DEBIUTY

DZIEWCZYNA?

Wiesław Kurdziel

NIE wiem jak długo siedziałem przy stole wpatrując się w jeden punkt, w to małe zdjęcie. Wmawiałem sobie, że to niemożliwe, że przecież ona mnie kocha. Przed oczami przesuwały się obrazy minionych dni, jak w kalejdoskopie, zdjęcie było tylko tym.

Jakiż byłem względem niej perfidny, z góry zakładałem, kiedy się pokłóć. Chodziłem wówczas zamyślony, zły na cały świat, obmyślałem jak się pogodzić, by ujrzeć jej łzy szczęścia, zakosztować smaku ust. Potem znow kilka dni nie zamęczonych smutkiem. Nawet w takich chwilach wmawiałem sobie, że to przecież nie to, że jej nie kocham, byłem nasycony. Konsekwentnie zacząłem realizować egoistyczny plan, by móc napiąć strunę do ostateczności. Ta bezgraniczna wiara w jej miłość, w stabilność tego uczucia, była powodem zachcianek i sprzeczek. Doprawdy nie mogę pojąć, jak mogła to przetrzymać. Nie obrazić się, nie zmyślać lub dać po prostu w mordę! A ona? Z anielską cierpliwością oczekiwała mojego powrotu. Wracałem wcześniej czy później by opowiedzieć jak się dręczyłem i co przeżyłem w chwilach rozłąki. Ze mną wracał spokój, chęć do życia.

A teraz ten list. I po co to wszystko? Czarna polewka, psiamać!

Rozstaliśmy się miesiąc temu. Musiałem jechać — sesja się rozpoczęła. Wyjechałem bez pożegnania. Znow zacząłem pisać oschłe listy. W jakim celu? By zniszczyć to, co stworzyliśmy przez dwa lata naszej znajomości? A przecież ją kocham! Próbowaliśmy wyrwać się z tego błędnego koła, myślałem nawet o samobójstwie, bo skoro moje życie ma być przyczyną cierpienia, które nieustannie zadaje, skoro wszystko potrafię zniszczyć i wiem, że i tak się nie zmienię, to śmierć może wybawić mnie z tej opresji i położyć kres. Ale nie, nie! Jestem zbyt wielkim tchórzem, żeby to popęlić, właściwie samobójstwo byłoby jeszcze większym tchórzostwem, ucieczką przed przyszłością.

Popatrzyłem na jej fotografię. Przecież ja cię kocham, jestem wariat, kocham, naprawdę kocham, ty nie mogłaś tego napisać, to nie ty! Ty wcale

tak nie myślisz! To niemożliwe! Napisałem ci kładę, że pogardzam samym sobą. Jeszcze raz kłamstwo! Poznałaś się na tym.

I ta prawda ukłula do tego stopnia, że zapragnąłem znow cię dręczyć. Odpisałem, że odczuwam potrzebę stanu kapłańskiego. Kłamstwo! Kłamstwo. Chciałem ci udowodnić, że nie pociągają mnie żadne inne kobiety. Znow kłamstwo. Wiem, że uroda kiedyś przeminie i pozostanie tylko wnętrze, czyli dusza, jak inni określają charakter, mimo to nie potrafię i nie chcę przeciwstawić się pięknu. Czyż mogę kochać, a jednocześnie odczuwać potrzebę innych kobiet? To perfidia, tak cię zdręczać. Ale dosyć. Albo się zmienię i zostanę człowiekiem, albo stoczę się na dno smutku, rozpacz i nigdy nie będę mógł spojrzeć w lustro bez uczucia wstępu. Do szczęścia potrzebne jest przecież tylko spokojne sumienie i użyteczność w stosunku do innych. Niestety, ja nie mam ani jednego, ani drugiego. Jestem więc nieszczęśliwy. Sam nie wiem. Stoję pośrodku pomiędzy dobrem i złem nie wiedząc, którą drogę wybrać, a właściwie nie zdając sobie sprawy, co to jest dobro, a co zło.

Zaczynam żałować tamtych listów. Na pewno plakałaś zadając sobie pytanie: „Dlaczego on wszystko potrafi zniszczyć?” Prawdopodobnie doszłaś do wniosku, że cię już nie kocham i nieświadomie skłamałaś. Uczucie, którym cię darzę, jest głęboko zakorzenione w moim sercu, ja niszczyć tylko koronę tego drzewa, korzeni nie jestem w stanie i nie chcę. Uwierzyć, nie chcę!

Ileż to razy zastanawiałem się, co by się stało, gdybym zerwał z tobą. Nie brałem jednak pod uwagę, że ty również to możesz uczynić. Gdybyś w tej chwili mogła mnie widzieć, jak chłonę każdy rys twej twarzy, gdybyś mogła przejrzeć moje myśli i wyplenić ten egoizm. Gdybyś mogła... Wziąłem zdjęcie do ręki, czule pocałowałem. Fetyszysta jestem! Zboczeniec! Szlag by trafił to wszystko! Mam dość tej obłudy i zdręczania innych własną osobą. Napiszę list, wszystko dokładnie wyjaśnię, niech wie, że ją kocham i będę kochał, zrozumie, musi zrozumieć, pogodzimy się. Życie jest takie krótkie, a mnie bzdury przychodzą do głowy. Po cóż się zdręczać? Po cóż to wszystko? Co chcę udowodnić? I komu? Nie lepiej być szczęśliwym, kochać i być kochanym, kształtować charakter i łaknąć dużo, dużo wiedzy? Tak, przeproszę ją za wszystko, chociaż raz się ugę, tak muszę to zrobić, przecież ją kocham, tylko mam taki cholerny charakter. Dosyć egoizmu. Dosyć, dosyć!

Podszedłem do okna, otworzyłem. Była już noc, piękna noc. Księżyc wyszedł spoza chmur i gwiazdy migotały w oddali. Ulice opustoszałe, nigdzie żywej duszy. Światła neonów były niczym w porównaniu z blaskiem księżyca. Wiatr nasiąknięty pyłem miejskim delikatnie pieścił twarz.

Nie potrzebuję litości. Nie potrzebuję. Nie chcę współczucia. Nie chcę! — krzychałem głośno.

Szybko zamknąłem okiennice i zasunąłem firanki. Przekreśliłem kontakt. Fala światła zalała pokój.

Na zegarze dochodziła czwarta. Zaraz będzie świtać. Muszę z nowym dniem rozpocząć nowe życie, przekreślić przeszłość. Ale dlaczego mnie rzuciła? Przecież ją kocham. Sama sobie winna, sama tego chciała. Parszywa rzeczywistość! A co się będę mazał, jestem mężczyzną, nie czas na rozterki. Znalazła sobie pewnie chłopca, a mnie ma gdzieś!

Dziwka!!!



Fot. L. Leo

Dokończenie ze str. 5

Szpital dawnego Lublina

ojcem dziecka, na którego utrzymanie nie chciał płacić i sąd dał wiarę jego zeznaniom.

W XVI w. lubelska rada miejska sprawowała opiekę nie tylko nad sierotami, ale i nad dziećmi biednymi, mieszkającymi poza szpitalem. W księdze miejskiej z 1571 r. czytamy: *Ubożej niewieście, która biedne dzieci chowa, daliśmy 15 groszy, w księdze z 1576 r. zaś: Z rozkazu pana burmistrzowego niewieście, która ma chować znale-*

zione dzieci — 12 groszy itd. Dzieci porzucone były nieraz za zgodą rady miejskiej adoptowane przez mieszczan lubelskich. W razie zgonu porzuconego dziecka, rada miejska pokrywała koszt jego pogrzebu. Rejestr z 1590 r. notuje w związku z

tym: Z rozkazu pana burmistrza dla dziecięcia znalezione, na pogrzeb, niewieście 4 gr. W wydatkach rady miejskiej znajdują się zapisy świadczące o pomocy finansowej dla dzieci chorych. Widać więc, że opiekę nad dziećmi sprawował nie tyl-

ko szpital, ale i władze miejskie.

W XVII w. wraz z upadkiem miasta podupadł też i szpital. W 1622 r. było już tylko 90 miejsc dla chorych i ubogich, znacznie gorsze stało się też ich wyżywienie. W 1650 r. liczba miejsc w szpitalu zmniejszyła się do 50, a na początku XVIII w. do 20. Szpital stopniowo chylił się ku upadkowi, by ulec likwidacji w XIX w.

Maria Kobylińska-Szymańska

PRZEDOSTAŁA się nawet do słownika wyrazów obcych. Chaltura. Nie bardzo mam ochotę sięgać tam po raz drugi, by dokładnie przytoczyć objaśnienie hasła, co ostatnio stało się nadzwyczaj rażące, bo nawet nie ma potrzeby. Coś tak, że pozbawiony ambicji produkt artystyczny, dzieło obliczone wyłącznie na zysk materialny, czyli to co wiemy. A zatem głą chalturzysty, a kysz chalturzysty, niech cię goni nasz sardoniczny śmiech.

A ja pedom — nie ma z tego się śmiać. Jeśli brak wian na budowę osiedla mieszkaniowego tłumaczymy trudnościami wzrostu, co wyklada się, że ludzie mają pieniądze i mogą sobie fundować mieszkania, ale nie wszystkie galezie gospodarki za takim popytem nadążają — to również przejawem trudności wzrostu może być chaltura rozumiana jako zjawisko w kulturze socjologicznej. Nie dotrzymuje kroku popytowi podaż artykułu pierwszej jakości, więc nie dziwnego, że na miejsce nienasyceń wchodzi artykuł jakości drugiej. Czy jest tu coś nie w porządku, ekonomio oraz ekonomio kultury? Czy to kartofle są winne, że na rynku nie ma pomarańczy? Albo że im właśnie nie wyrosła wonna lupina, a miękisz nie stał się różowy, słodki i podzielony na segmenty? Narzekamy na chalturę. A co stwarza warunki jej egzystencji w układzie szerokich gustów odbiorczych, jeśli nie zdolnych odrząć kiepskiego artykułu, to przez to, że nienależycie uformowanych przez tzw. sieć placówek i tzw. aparat administracyjny? Powtarzam: zastanówmy się, zanim uderzymy w potępienie. Bo za każdym zdemaskowaniem chalturzysty winien się znaleźć rumieniec „odnoś-

nej” komórki administracyjnej i to z dwu powodów: po pierwsze — że publiczność sama nie dokonuje artystycznej selekcji, skoro już tyle lat znajduje się w polu kulturalnego oddziaływania, które w takim razie okazuje się mało skuteczne; po drugie — że aparat resortowy, skoro na chalturę jest tak zaudany, nie potrafi jej powstrzymać swoimi środkami, co wystawia celującą notę jego indolencji. Nie operujący kiczem aranżer nastawiony na Pcim i Kłaj jest winien kiepskiej dystrybucji artykułów czy dystrybucji kiepskich

znaczy, że „Pod Basztą” nie mogą mi dać zwykłego, ale przyzwoitego rumasztyku? Mogą. I będę zadowolony. Bo chaltura — jeśli zjawisko rozpatrujemy w kategoriach artystycznych, jak poprzednio w socjologicznych — nie koniecznie musi być degrengoladą. W naszych dzisiejszych polskich, czy wojewódzkich warunkach to po prostu artystyczny produkt drugiego sortu, co powinno być przyjęte z koniecznym poczuciem realności, jako że Kazimierz Brandys nie może być co drugi tydzień we Włodawie, Krzy-

produkowaniu dzieł wymagających wysokiego standardu aparatury wykonawczej i czynników towarzyszących (akustyka, oświetlenie, wygląd sali), gdyż w przykry sposób popadło by to w dysonans z istniejącymi realiami i znalazło się w okolicy jakiegoś prowincjonalnego estetyzmu pań i międzywojennych chłopomańskich towarzystw regionalnych. Widzowie spoglądaliby po sobie i czekali na zakończenie imprezy, a mniej zważający na formy opuszczaliby salę w czasie produkcji. Nie dlatego, że Szopen nie po-

W OBRONIE CHALTURY

Zygmunt Mikulski

artykułów: on jest w każdej chwili do unieszkodliwienia. Winien jest stan rzeczy po stronie gustów odbiorczych, winien zespół czynników organizacyjnych, kształtujących komunikację na linii dobro kultury — odbiorca. Jeśli — podkreślam tryb warunkowy — jeśli w ogóle o winie może być mowa.

Bo być nie może. Jeśli znajduję się w restauracji „Pod Basztą”, nie mogę mieć pretensji że mi nie podadzą potrawy o inteligentnie brzmiącej nazwie boeuf à la Strogonow, a po to, co się nazywa chateaubriand, musiałbym jechać chyba do warszawskiego „Bristolu”. Czy to

sztos Penderecki raczej nie wystąpi w Woli Sernickiej, a Edward Stachura miejscowości województwa lubelskiego w ogóle odwiedza w porze letniej. „Nie zadzieraj nosa, nie rób głupiej miny” (nawet i z głupiej piosenki da się coś wyluskać). Może to zabrzmieć szokująco, może pastuszkowato, może wydam się na polemiczny sztuczny mistrz od profesjonalnej orientacji, ale widziawszy co nieco, na estradach „niż niż powiatowych” nie widziałem niczego z chaltury. Niezego, co przekracza określony limit w dół. A nawet twierdząc, że na tych estradach błędem byłoby kusić się o za-

trafi przemówić do tzw. zwykłego śmiertelnika, czy tzw. zwykły śmiertelnik jest absolutnie nie przygotowany do przyjęcia wysokiej sztuki. Dlatego, że kontakt z dobrem kultury wymaga odpowiednich dla siebie warunków, co widać choćby na przykładzie kina, które przy rwącej się taśmie, na marnym ekranie, przy kiepskiej aparaturze dźwiękowej i w obdrapannej sali nie jest w stanie dostarczyć przeżycia artystycznego. Jeśli więc zespoły „chalturzystów” (cudzysłów chyba jest usprawiedliwiony powyższymi uwagami) spowodują zarzucenie przyczółka na prawdziwy teatr, na

Przemysław Skarżyński

LUDZIE

Nie pytaj o nic
Noc przyszła z deszczem
A my
Zagubieni pod parasolem
Mali aktorzy
Posłuchaj drzew
Grają w liściach
do wotru fleszom błyskawic
Stań na chwilę
i zanuć
do taktu kroplom
Śnij
swój sen o ludziach



Rys. E. Ingłot

RĘCE MATKI

Dwa portrety
wykute
nienazwanym drgnieniem
Gładzące
Żale i radości
Kojące bóle
Bruzdy
życia i szczęścia
Czują każdą literę losu
Obnoszą nowe życie
i płaczą
Kiedy gubią
dziecko

Kamena str. 12

Czy naprawdę zawsze do usług?

Jerzy Dostatni

MISTRZ igły w spółdzielczym punkcie usługowym spojrzal na mnie taksująco-podejrzliwie i zamiast odpowiedzieć, w jakim terminie uszyje mi ubranie, sam zapytał:

— A materiał pan już wybrał?
Pytanie wydawało się niewinne, a głos jakby zabrzmiał troskliwością o przyszłego klienta. Wkrótce jednak okazało się, że jestem bardzo marnym kandydatem na klienta. Przyszedłem już bowiem z kuponem w PDT kuponem, a także podszewką i innymi dodatkami. W konsekwencji upragniona przeze mnie usługa krawiecka ograniczyła się tylko do samej robocizny, co tylko w małym stopniu zwiększy obroty spółdzielni. Gdybym to wszystko kupił na miejscu, obroty byłyby ze trzy razy większe przy takiej samej robocie personelu. Więc takiemu klientowi jak ja podaje się z reguły bardzo dalekie terminy w zubożonym celu odstraszania go na dziś i na przyszłość.

Rzecz bowiem w tym, że w tej sferze naszej działalności, którą nazywamy usługami, wciąż jeszcze po uszy tkwimy w starych schematach myślenia, planowania i sprawozdawczości. Albowiem do wartości usług zalicza się nie tylko samą pracę, ale także wartość materiałów, zużytych do wykonania tej usługi. W ten sposób operuje się coraz licznymi dziesiątkami, setkami milionów złotych — statystyki wyglądają imponująco, natomiast w powszechnym odczuciu społeczeństwa niedostatek usług jest wciąż dotkliwy.

Potentatem na rynku usługowym jest u nas, jak w każdym województwie, spółdzielczość pracy. Na zjeździe delegatów Woj. Związku Spółdzielni Pracy w Lublinie w dniu 28 marca br. wzięto mównicę o dynamicznym rozwoju usług. I tak się mogło wydawać podczas słuchania wystąpienia, gęsto przetykanych wieloma milionami czy procentami. Ale potem przychodzi refleksja — i oto jej wyniki.

Tegoroczny plan usług WZSP wynosi 404,6 mln zł — zauważmy, że daje to tylko 200 zł rocznie na jednego mieszkańca województwa. Plan ten jest rzeczywiście większy o 16,6 proc. od wykonania planu zeszłorocznego. Przyjmując, że będzie on wykonany (w latach poprzednich nie było to regułą), można powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Niestety — nie jest to prawda.

Przede wszystkim ze względu na zmianę cen niektórych artykułów i surowców, potrzebnych do wykonania określonych usług. Nastąpiła także zmiana cenników za pewne usługi, np. w krawiectwie męskim o 15 proc., w damskim o 40 proc. W takim układzie wprowadzie wartość usług rośnie, ale ich ilość pozostaje taka sama, albo rośnie tylko bardzo nieznacznie. Jaki jest ten przyrost rzeczywiście, jeżeli w ogóle jest — nikt uczciwie odpowiedzieć nie umie.

Myślę, że przy generalnej ocenie usług trzeba także wziąć pod uwagę stały, gwałtowny wzrost dochodów ludności. W pierwszym kwartale roku

bieżącego był on w województwie lubelskim aż o 16,2 proc. wyższy niż w pierwszym kwartale roku ubiegłego, na drugi kwartał br. przewiduje się wzrost o 11,1. Jest to spadek pozorny wynikający z tego, że pod koniec pierwszego kwartału wypłacano tzw. trzynastki. W społeczeństwach o niskim standardzie życiowym taki wzrost dochodów idzie głównie na zwiększony zakup środków żywności. W naszych warunkach przeznaczają się na ten cel stosunkowo drobną część nadwyżki — większość kieruje się na zakup artykułów przemysłowych trwałego użytku oraz na usługi.

Tymczasem na Lubelszczyźnie ani handel, ani usługi nie nadążają jeszcze za wzmożonym popytem społeczeństwa. Obroty lubelskiego handlu w okresie stycznia—lutego 1974 r. zwiększyły się o 16,3 proc., podczas gdy przeciętna krajowa wyniosła 17,6 proc. — tak więc istniejący od dłuższego czasu dystans jeszcze się powiększył. Naturalnie handlowcy będą przysięgali, a nawet pokazywali wyrzykliwe liczby, że jest inaczej — ale opieram się tu na danych Narodowego Banku Polskiego, który jest naszą wspólną i precyzyjnie działającą kasą.

Jeżeli zaś chodzi o usługi to nie tylko, że nie mamy rzeczywistego poglądu na ich ilość, ale także nie bardzo wiemy, jakiego rodzaju usług nam brakuje. Był przed laty okres, że jak grzyby po deszczu powstawały zakłady fryzjerskie oraz punkty naprawy butów. Dzisiaj warsztaty szewskie można liczyć na palosach. Wprowadzie słusznie jeszcze na-

prawdziwą filharmonię i na prawdziwą scenę kabaretową, spełniającą rolę nawet nie osiagając górno-górnego C.

Ze słowem „chaltura” złączona jest atmosfera sensacji. Następuje reakcja poczty pantoflowej. Szu — szu — szu. Nawet całkiem oficjalna wiadomość w ten sposób powtórzona nabiera pikanterii. Ze Marek Perepeczko w ciągu jednego dnia miał coś trzy, czy cztery spotkania z widzami lubelskimi. Ze Daniel Olbrychski i ten z nim pianista, no... no... (skleroza) obokoczyli Nałęczów, MPiK i jeszcze jakiś Radziń w ciągu paru godzin. Szczególnie Perepeczko mogą się nie dziwić, bo przy takiej budowie można mieć spotkanie nie z widzami ale z hydrą lernejską Heraklesowi ulgę przynosząc, natomiast Olbrychski widziany nieustannie na każdym ekranie na każdej planszy i w każdym zwiastunie, może uchodzić za nieco zbyt ofiarnego kapłana sztuki. Więc owszem, mogliby mniej, przynajmniej jednego dnia. Ale skoro zrobili nie mniej, lecz więcej, nie wynika, że ilość stała się kosztem jakości. Nie wynika przynajmniej na skutek prostego zestawienia arytmetycznego. A przede wszystkim: coś źle z tym rynkiem skoro ni stąd ni zowąd taką masę towaru można mu wepchnąć jednorazowo, tu dopiero problem. Nie wdęć winić, że w dół splywa. Jeśli chcemy zatrzymać powódź, raczej pomyślmy o podniesieniu terenu.

I właściwie ten żargon należałoby przeprowadzić w język. Chodzi o to, że ta „chaltura” w systemie pojęć o upowszechnianiu kultury niewiele znacząc, niewiele złatwiając, nie nasuwając żadnych wniosków. Bo powstałe czyjeś przeświadczenie, że ktoś inny za wiele za-

robił, połączone zazwyczaj z domieszką dającej się wyczuć zazdrości, nie ma żadnego związku z przedmiotowym myśleniem o zjawisku. To słówko dla organizatorów jest etykietką indolencji, którą sami sobie w najlepszej nieznajomości rzeczy przypinają. Dla wykonawców — często kamieniem obrazu, ponieważ nierzadko się zdarza, że pod pozorami chaltury dają produkt całkiem solidny, a że w ilości sporiej, ich to i ich wytrzymałości fizycznej sprawa. Dla odbiorców — świadectwem duchowego ubóstwa uniemożliwiającego gradację zapotrzebowań, przyjmującego za dobrą monetę wszystko, co brzęknie i błysnie niekoniecznie z estrady. A w gruncie rzeczy jest to pojęcie-lizman nie przekładające się na określony walor, ponieważ mimo tylu rozważań i utyskiwań nikt nikomu nie złożył ułkonu ze słowami: „Witam chalturzystę”. Jeśli się to stało, to w sprzeczce towarzyskiej, nie zaś na forum publicum.

Asekurancko zakończę kropką nad „i”, co nie oznacza, że zgadnienie chciałbym widzieć zamknięte.

Bynajmniej nie pragnę, by wykonawcy zarabiali ponad miarę, a szczególnie ponad cenę prezentowanych treści. Bynajmniej nie pragnę anarchii i atmosfery mętnej wody w przenoszeniu wartości kultury do kręgów odbiorczych. Bynajmniej nie pragnę, by zapotrzebowanie na wsi i w mieście zostało zatkane byle czym. Ale chodzi mi o sprzeczowanie pewnych terminów na tyle, by po takim zabiegu mogły spełniać swoje funkcje kontrolne, podczas gdy w innym ujęciu co najwyżej powiększają jarmarczny gwar i tak już przechodzący dość swobodnie przez usta i uszy, obejmując nawet niejedną świadomość.

rzekamy na jakości wielu butów z produkcji przemysłowej, ale tradycyjne „zelowanie” butów czy przyszywanie „przyszczyków” należy już do przeszłości. Buty są trwalsze, zwłaszcza podszewy, a gdy się zedną, po prostu kupuje się nowe.

Moda spowodowała, że dość gwałtownie opustoszały też zakłady fryzjerskie. Coraz więcej z nich przekształca się na zakłady kosmetyczno-fryzjerskie, a w niedługim czasie jeden z największych w Lublinie zamieni się na fińską saunę.

Powstaje natomiast zapotrzebowanie na całkiem nowe usługi. Dla przykładu — przeprowadzki. Do dzielnicy LSM przeprowadza się co roku z różnych punktów Lublina około 2 tys. rodzin, około 250 przeprowadza się wewnątrz spółdzielni. Do niedawna nikt się tym nie zajmował i każdy kombinował jak mógł — raz przepłacając, drugim razem niezbyt legalnie korzystając z samochodu zakładu pracy. Dopiero ostatnio spółdzielnia „Higiena” podjęła się tego rodzaju usług i mimo braku reklamy nie może narzekać na brak klientów. A dla przykładu: przeprowadzka czterosobowej rodziny z meblami z Kalinowszczyzny na V piętro punktowca na LSM kosztowała wszystkiego 700 zł.

Wiadomo również, że nowe budynki nie grzeszą jeszcze zbyt wysokim standardem wyposażenia. Wielu mieszkańców chciałoby sobie ten standard podnieść, instalując dodatkowe szafy, obudowując kuchnię, wykładając łazienkę kafelkami itp. Tylko jak to złatwić? W dzielnicy LSM po oddaniu każdego budynku krążą po mieszkaniach rzadko całkiem trzeźwi osobnicy, którzy podejmują się podobnych robót, nie gardząc zresztą i takimi drobiazgami, jak wstrzeliwanie kółków, zawieszanie karniszy czy pokrywanie parkietów hemolakiem.

Rozmawiałem właśnie z kierownikiem działu usług w lubelskim WZSP, gdy zatelefonowała jakaś pani — samotna, która otrzymała mieszkanie — skarżąc się, że żadna z istniejących w wojewódzkim mieście spółdzielni nie chce jej pokryć podłogi hemolakiem. Kierownik odpowiedział, że następnego dnia zjawi się u niej odpowiedni pracownik — ale dlaczego trzeba sięgać aż tak wysoko, by złatwić tak prostą sprawę?

Jeżeli chodzi o WZSP zadziwiająca jest to, iż od lat systematycz-

nie spada wartość usług budowlanych. Zarówno w planowaniu jak i wykonaniu. Na rok bieżący planuje się 13,8 mln zł, podczas gdy wykonanie w roku 1971 wyniosło 15,5 mln zł — zresztą 1,5 mln zł poniżej planu. Co się dzieje? Ludzie chcą budować, chcą remontować stare mieszkania i domki, z materiałami nie jest już tak źle — a tu z roku na rok gorzej. Ktoś mi wmawiał, że załogi spółdzielni budowlanych to ludzie, którzy nie mogą się utrzymać w przyzwoitych przedsiębiorstwach budowlanych. Miał zapewne na myśli brak dyscypliny, kwalifikacji, skłonności do piwka po setce. Może jest i tak, ale chyba tylko częściowo. Główny powód upatrywałbym w sprzeczności, narzędziach i organizacji pracy, żywym przejętych z czasów panowania imię króla Cwiczka. Co powoduje że zarobki, te oficjalne, są mizerne, a konsekwencje — jak wyżej.

Jesteśmy właśnie w trakcie przeprowadzania wielkiej reformy systemowej w przemyśle. Już nie tylko pierwsze, ale drugie i trzecie doświadczenia pokazują, że odejście od utartych wskaźników i dyrektyw, zarzucenie skostniałych schematów zarządzania i myślenia przynoszą widoczne efekty. Czas już chyba najwyższy, aby w dziedzinie usług podjąć podobną reformę. Przede wszystkim — odejście od obliczania wartości usług razem z wartością materiałów. Operujemy już w przemyśle wcale nie abstrakcyjnym przeciw pojęciem produkcji dodanej, dlatego w usługach nie liczy się tylko rzeczywistej robocizny? Uzależnienie wysokości funduszu płac od wartości robocizny dodanej tak samo jak w przemyśle wpływa na dynamizację na wzrost wydajności i jakości pracy.

Wiele spółdzielni reklamuje się hasłem: zawsze do usług. Jak widać na przykładzie chociażby nie-szczęsnego hemolaku — bywa to tylko hasło mniej lub więcej odstające od rzeczywistości. Czas już chyba na zlikwidowanie tych i podobnych rozbieżności. Tylko kto odważy się na to, aby za jednym zamachem zamiaszt np. owych 405 mln zł w lubelskim WZSP wykazać usługi wartości tylko 150 mln zł? Nie uchodzi, nie uchodzi... wielu z nas wciąż jeszcze fascynuje się żonglerką liczb a nie tym, co się za nimi kryje.

Sennik egipski

- 7 -

- Cylinder (nakrycie głowy) — pozorne powodzenie
- Cylinder (szkło do lampy) — poznasz prawdziwe oblicze swoich sąsiadów
- Cynamon — przyjemne spotkanie
- Cyrkiel — niesamodzielność, ślamazarność
- Cyprys — tęsknota
- Cytra — miłość z przeszkodami
- Cytryna — brutalny, ale szczerzy przyjaciel
- Cytrynę wyciskać — smutna wiadomość
- Cytrynę kroić — nieprzyjemność w rodzinie
- Cysterna — wiadomość z daleka
- Czapka — fałszywy człowiek wyzyska cię
- Czapkę mieć na głowie — pomyślność
- Czapkę zgubić — utrata szczęścia
- Czaszka trupia — smutek, zmartwienie
- Czarodziej — niebezpieczny przeciwnik
- Czarować — strzeż się oszustów
- Czasopisma przeglądać — fałszywe wiadomości
- Czaty — nieprzewidziane kłopoty
- Czekolada — niedyspozycja
- Czekoladę pić — zadowolenie
- Czekać — nie licz na przyjaciół, bo zawiodą
- Czepiać się czegoś — brak wytkniętego celu może ci przynieść szkody
- Czepek biały — spokój domowego ogniska
- Czernice — niestały zarobek
- Czerwień — przemijająca radość
- Czerwień jeść — dobry uczynek twój zjedna ci ludzi
- Czesać się — zaprowadzanie ład w gospodarstwie
- Czesać kogoś — dawanie rad i uczenie porządku
- Czkawka — obrazi cię ktoś
- Czolg — zwyciężysz wszystkie przeciwności
- Czerwienieć się — niezasłużony wstyd
- Czoło odkryte, szerokie — dzielnie przeciwstawisz się swoim przeciwnikom
- Czoło niskie — złe zamiary
- Czołmem płynąć po spokojnej wodzie — podróż do rodziny
- Czołmem płynąć po wzburzonej wodzie — podróż z przeszkodami
- Czosnek jeść — wygrasz niewielką sumę na loterii lub otrzymasz podarunek
- Czosnek wachać — niemile wrażenie
- Czuć urazę — złe postępowanie z otoczeniem
- Czuć się szczęśliwym — przebolejesz jakąś stratę
- Czupryna — sprawa sądowa
- Czuwać — kłopoty
- Czwórka jechać — dobrobyt, kariera
- Czynić komuś wymówkę — ufaj przyjacielowi, kiedy go będziesz potrzebować
- Czynsz odbierać — zadowolenie
- Czyścić buty — wpadniesz w intrygi
- Czynsz płacić — pozbycie się przykrości
- Czytać książki — ważna nowina ucieszy cię, pomyślne widoki
- Czytać listy — wiadomości, z których odniesiesz korzyści
- Czyżyk — natrętny gość
- Czyżyk śpiewający — plotki

D

- Dama — zabawa w niedobrym towarzystwie
- Damska garderoba — korzystne zajęcie
- Darować coś — zadowolenie
- Dach — bez troskie życie
- Dach pokrywać — dobre interesy
- Dach, spaść z niego — niepowodzenie
- Dach, wspinać się — dojście do samodzielności, władzy
- Dachówka — spokojne życie, ugruntowana przyszłość
- Darń zielona — nadzieja na dobry wynik twoich spraw
- Darń, biegać po niej — radość
- Darń, siedzieć na niej — niesamowite przygody
- Dąb zielony — dobrze będzie w gospodarstwie domu
- Dąb suchy — śmierć u znajomych
- Deklamacja — będziesz kogoś okłamywać
- Dentysta — cierpienie, troski
- Depesza — niespodziewana wiadomość
- Deski — zmartwienie
- Despota — popelnisz niegodny czyn
- Deszcz gwałtowny — klótnia, wymyślania sobie
- Deszcz ze słońcem — poprawa losu, miła zmiana
- Deszcz z wichrem — przejściowe zdenerwowanie, nieporozumienia
- Detektyw — napad, rabunek
- Dezertier — niespełniony obowiązek
- Diabeł — niebezpieczeństwo na ciebie czyha
- Dół — straty pieniężne
- Dół przeskoczyć — unikniesz szkody, niebezpieczeństwa
- Doki okrętowe — wieści z dalekich stron
- Dolina — powrót do zdrowia, zrównoważone życie
- Dno widzieć — klótnia w domu
- Dość krowy — zysk, bogate zaręczyny
- Dobra kupować — dobrobyt
- Dobra odziedziczyć — stracone szczęście
- Dobra sprzedawać — ubóstwo
- Długi robić — zabawa z awanturą
- Doktor — ktoś cię wyzyskuje
- Dogmaty czytać — usłyszysz dobre rady
- Dom budować — szczęście, wygrasz na loterii
- Dom walący się — zły stan interesów
- Dom płonący — kradzież
- Dom meblować — dobrobyt, powodzenie
- Dom opuszczać — nieprzewidziany wydatek
- Dom pusty — wszystkie zamiary na nic
- Dom własny — czeka cię dobrobyt, ale zdobyty własnym wysiłkiem
- Domino (maska) — nieszczerłość wobec przyjaciół
- Domino (gra) — bezużyteczna strata czasu
- Dopomóc komuś — ktoś wyświadczy ci dobro
- Dorożka — krótka choroba

Dalszy ciąg nastąpi

Kamena str. 13

